

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 22 WRZEŚNIA 1928 ROKU

NR 39

TREŚĆ NUMERU: Umiejmy wystarczyć sobie przez całe życie — *Natalja Jastrzębska*. Z zagadnień krajowej i międzynarodowej opieki nad matką i dzieckiem (dok.) — *Henryk Gołogórski*. Nieco o „Białce” — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Droga do Krzemieńca”, „Noc na górze Bony” — *Felicja Kruszevska*. Baby (c. d.) — *A. Fag*. Bzik pani d'Estrailles — *Maurice Renard*, przełożył *Gabryel Karcki*. 1200 kilometrów autem w trzy dni — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *j. k.* Powrót do gniazd — *W. D.* Targi wschodnie we Lwowie — *Janina Łada Walicka*. Estetyka wystawy sklepowej (c. d.) — *Helena Wolska*. Trawniki w jesieni — *Stan. Schönfeld*. Jak przechowywać produkty — *J. S.* Obiady na maszynie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: Horoskopy na sezon zimowy — *Well*, Eleganckie fartuszki. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusze wzorów.

UMIEJMY WYSTARCZYĆ SOBIE PRZEZ CAŁE ŻYCIE

Jedną z rzeczy, o których najmniej myślą kobiety, nawet najrozumiejsze, najpracowitsze i najbardziej uspołecznione, jest sprawa zabezpieczenia sobie starości.

Wynika to zapewne, jak wiele innych błędów i niedociągnięć w postępowaniu ogółu kobiet, kroczących po nowych jeszcze dla siebie drogach, z braku dostatecznego doświadczenia, z braku wieloletniej, a nawet wielopokoleniowej rutyny socjalnej.

Przez tak długi ciąg cywilizacji, jedynym, ostatecznym celem kobiety było zamążpójście, po którym materialną troskę o jej byt obejmował mąż, że poczucie własnej odpowiedzialności za byt, do końca życia, nie mogło wkorzeni się w kobiecą psychikę. Były naturalnie zawsze i bardzo liczne wypadki, w których wdowy musiały myśleć o swoim, a nawet i rodziny utrzymaniu, ale fakt taki uważany był za wyjątek, dopust Boży, za coś tak dla kobiety ciężkiego, że jeśli przetrwała ona zwycięsko ten okres, to już zabezpieczeniem jej późniejszego wieku zająć się musiały dzieci, rodzina dalsza, lub pomoc społeczna.

Obecnie warunki zmieniły się zasadniczo. Mężczyzna, tak, jak w tylu wypadkach, nie jest w stanie wystarczyć sam na utrzymanie rodziny, w czym żona musi mu dopomagać; tak samo nie może całkowicie zabezpieczyć jej na starość. Przewroty wojenne, zmiany do gruntu całokształt warunków ekonomicznych, mieszkaniowych itp., zniosły zupełnie dawny typ rodzin, w których przy skromnym nawet stanie majątkowym mogło zawsze znaleźć się dla jakiejś starszej

krewniej miejsce, a często i utrzymanie. Dziś, ileż razy nawet rodzone dzieci nie zarabiają tyle, aby zapewnić byt matce, a już prawie nigdy nie mogą dać jej mieszkania, same go nie mając!

A tymczasem, kobiety właśnie, co jest dowodem stwierdzonym, żyją zwykle dłużej, i, jak to z głęboką, wnikliwą mądrością mówi Grosse-Korycka w swem dziele „Świat Kobiety”, najszczęśliwszym, najbardziej kochanym, otoczonym nieraz zbyt wielkim kobietom często pozostaje przy końcu życia welon wdowi i ciężkie troski materialne.

A prócz tego, ileż kobiet w dzisiejszych warunkach zamąż nie wychodzi, pracując ciężko całe życie na własny byt! I te jednakże, nieraz z dziwną bez troską, nie myślą o starości, o tym okresie, gdy nie będą już mogły zapewnić same sobie wystarczających środków do życia!

Bezwzględnie, że ustawodawstwo i ekonomja społeczna myśli o tem za nie. Urzędniczek biur państwowych i samorządowych opłacają składki emerytalne, tak samo już obecnie weszła w życie ustawa o zabezpieczeniu emerytalnem pracowników umysłowych, która to kategoria obejmuje w Polsce większy, niż gdzie indziej, kompleks pracowników. To też można powiedzieć, że zrobiono dla tej sprawy wiele, jak na naszą młodą państwowość.

Nie zrobiono jednak wszystkiego. Nie mamy jeszcze ustawodawstwa emerytalnego takiego, jak np. Australja (będącego zresztą wyjątkiem wśród najbardziej uspołecznionych państw), gdzie każdy człowiek,

który ukończył 65 lat życia i nie posiada majątku, ma prawo do tak zwanej „pensji starczej“.

Musimy więc jeszcze sami myśleć o sobie. A tymczasem stosunek nasz nawet do owej, bardzo dla pracowników korzystnej ustawy emerytalnej, jest nieraz, i to właśnie u kobiet, wprost horendalny. Inteligentne skądinąd panie nie mogły zupełnie zrozumieć, o co chodzi. Niektóre były oburzone, gdy zaczęto potrącać im z pensji wkłady! Mam znajomą, młodą osobę, pannę, zarabiającą około 600 zł. miesięcznie, która przyszła do mnie z formalną rozpaczą o radę, czy nie udałoby się uwolnić od tych składek! Gdyby nie przewidujące opatrzenie ustawy rygorem przymusu, napewno przynajmniej połowa kobiet, które wielokrotnie nie zawahają się ani chwili wobec kosztownego sprawniku, nie zgodziłaby się płacić wkładów emerytalnych!

Naturalnie, że wypływa to nietylko z lekkomyślności, ile z niedostatecznego jeszcze wdrożenia do pracy zawodowej i myślenia o swoim bycie. Bardzo wiele kobiet, zwłaszcza trochę starszych, jest zupełnie do żadnego zawodu nieprzygotowanych. Ileż z nich zmusiła do pracy dopiero wojna! ile nie ukończyło nawet szkoły średniej, ani fachowej. Wskutek tego walczą one z ciężkimi warunkami pracy, zmieniając ją często, przerzucając się od jednej do drugiej i nie mając wskutek tego energii, a nieraz możliwości pomysłenia o zabezpieczeniu na starsze lata.

Inne znów, zwłaszcza młodsze, zawsze w głębi duszy myślą jednak, że karierę ich pracowniczą zakończy małżeństwo, zdejmujące z ich bark troski materialne.

Dla tych wszystkich przymus płacenia składek emerytalnych jest zbawienny. Niestety, jednak, bardzo wiele z nich znajduje się jeszcze poza tą ustawą! Te muszą i powinny pamiętać, że, popierwsze, w dzisiejszych warunkach życiowych małżeństwo nie zabezpiecza kobiety materialnie tak, jak dawniej; po drugie, że coraz więcej kobiet zamąż nie wychodzi.

A jakże bolesne, ciężkie i upokorzające jest życie kobiety starszej, nie mającej pewności choćby skromnego bytu! Nietylko najpóźniejsze lata, ale już i schyłek wieku średniego jest tem zatruty. Coraz trudniej znaleźć pracę—wszędzie chcą młodych! W oczach rodziny i przyjaciół czytać można, jak w książce otwartej, serdeczną nieraz nawet, ale bezradną troskę: co „ona“ pocnie na starość! A ileż razy doświadczyć trzeba tego, jak ludzie odsuwają się z niepokojem od takiej, zagrożonej utratą bytu, osoby, aby nie być potem zmuszonym do pomocy!

Przykrości zaś te zamieniają się w prawdziwą tragedję, jeśli kobieta starsza, niezabezpieczona materialnie, zaczyna szwankować na zdrowiu. Ostatecznie, żyjemy przecież wśród ludzkości humanitarnej, znajdzie się ktoś, kto dopomoże; ale jakaż to straszna rzecz potrzebować tego, przechodzić tysiączne perypetje wypraszanego umieszczenia w schroniskach, lub korzystać z czyjejs łaski!

Każda kobieta pracująca powinna o tem pamiętać i mieć to od najmłodszych lat na uwadze. Sprawa zabezpieczenia sobie starości, choć niełatwa, nie jest jednak niemożliwa. Pensje pracującej inteligencji np., zwłaszcza kobiet, są niewielkie; wymagania życia współczesnego, przeciwnie, bardzo duże. Jeżeli jednak będziemy myśleć o tem od pierwszych lat pracy, stale i konsekwentnie, jeżeli bezwzględnie przeznaczymy na ten cel choć drobną, ale bez przerwy odkładaną sumę—cel ten osiągniemy. Naturalnie, że nie robi tu wiele poszczególna jednostka, ale zorganizowana akcja przynieść może bardzo poważne rezultaty.

Akcja ta pójść powinna w dwóch kierunkach: ubezpieczeń i tworzenia schronisk, organizowanych przez związki zawodowe i społeczne.

W ubezpieczeniach powinniśmy poznać gruntownie system amerykański i jaknajwięcej na nim się wzorować, gdyż rozwój akcji ubezpieczeniowej jest tam doprawdy imponujący. Amerykanin ubezpiecza się na każdą okoliczność życia, nietylko od śmierci i choroby, lecz na wypadek pozostania bez pracy, potrzeby dłuższego odpoczynku, na dłuższy termin, aby po latach kilkunastu mieć do rozporządzenia pewien kapitał, a przede wszystkim—ubezpiecza dzieci.

Związek polek w Ameryce rozwinął tę akcję niezwykle intensywnie. Każda członkini związku z chwilą przyjścia na świat córki, zapisuje ją, jako członkinię, ubezpieczoną na pewną sumę. Prowadzi się tym sposobem podwójną akcję:—organizowania wszystkich kobiet „od kolebki“, jak mówią organizatorki, i zapewnienia im podstawy materialnej.

Akcja ta ma jeszcze i trzeci, niezmiernie dodatni rezultat:—uczy ludzi od dzieciństwa myśleć o tych sprawach, stwarza im poprostu taki charakter.

Należy więc i u nas podjąć jaknajszerzej tę akcję; powinny ją usilnie propagować nietylko stowarzyszenia i związki zawodowe, lecz, co jest bardzo ważne, stowarzyszenia społeczne. One właśnie wejść muszą w kontakt z osobami, niepodlegającymi ustawom emerytalnym. W stowarzyszeniach tych powstać powinny specjalne sekcje ubezpieczeniowe, wiele bowiem osób, usuwających się od pewnego natręctwa zawodowych agentów ubezpieczeniowych, zgodziłoby się daleko łatwiej na ubezpieczenie się przez stowarzyszenia.

Poza ubezpieczeniami, tworzyć należy schroniska najrozmaitszych typów. Działalność ta jest już zapoczątkowana przez różne związki zawodowe: mamy już schroniska literatów, artystów, nauczycielek i t. p. Należy tylko rozwinąć tę akcję jaknajszerzej, prowadzić ją w tym kierunku, aby każda stowarzyszona opłacała na jej rzecz drobną składkę. Przed wojną, np., każda nauczycielka, która chciała mieć zapewniony pobyt na starsze lata w schronisku w Zielonce, wpłacić musiała 100 rb. Czy naprawdę mogły być nauczycielki, któreby przez kilkanaście

lat pracy złożyć takiej sumy nie mogli? A jednak ileż nie pomyślało o tem!

Taksamo obecnie różne schroniska dają miejsce, żądając wpłaty pewnej sumy, która powinna być rozłożona na raty — wtedy każda pracownica będzie mogła ją wpłacić. Naturalnie, że wogóle powstaćby powinno specjalne stowarzyszenie samopomocy, regulujące te sprawy i działające w różnorodnych kierunkach.

Jednym z nich powinny być kwestja mieszkaniowa. W swoim czasie Polskie Stow. Równouprawienia zainicjowało organizację kooperatywy mieszkaniowej „Nasz Dom“, przeznaczoną wyłącznie dla kobiet starszych, nieposiadających rodziny, lub niechęcych mieszkać u dzieci. Akcja ta, rozwijająca się bardzo pomyślnie, przerwana została przez wojnę. Obecnie, wobec szalonego braku mieszkań i rozwoju ruchu spółdzielni mieszkaniowych, znajdujących szerokie kredyty i pomoc ze strony państwa, pomyśleć należy stanowczo o takiej kooperatywie. Członkiami jej staćby mogły bardzo liczne rzesze kobiet, nawet ubezpieczonych emerytalnie, gdyż mieszkanie własne jest dziś niesłychaną ulgą w budżecie. Ileż kobiet niemających za sobą długich lat pracy, liczyć może, z chwilą przejścia na emeryturę, najwyżej na połowę, a czasem tylko trzecią część normalnego zarobku! Te 120, lub 150 zł. miesięcznie, bez mieszkania — są poprostu nędzą, gdy przy posiada-

niu własnego lokalu, mogą wystarczyć na skromne utrzymanie. Taki ruch spółdzielczy kobiecy rozwija się bardzo intensywnie w Niemczech, gdzie kooperatywy stowarzyszeń kobiecych wybudowały już szereg domów; niektóre nadały im charakter towarzystw akcyjnych, dających nawet poważne dywidendy. Wszystkie zaś tworzą różne typy mieszkań, organizując jednocześnie w każdym domu ośrodek życia towarzysko-społecznego.

Zapewnienie sobie na starsze lata takiego własnego kącika, oraz najskromniejszego choćby, ale stałego i pewnego wpływu materialnego, powinno być elementarną, zasadniczą troską każdej kobiety, nie posiadającej majątku osobistego; choć i tym, które go mają, nie zaszkodziłoby poświęcić na ten cel części swych dochodów, gdyż każdy majątek można stracić. Myśleć o tem trzeba od najwcześniejszej młodości, robiąc odrazu to, co można zrobić samej, bądź w formie oszczędności, bądź ubezpieczenia, czy opłacania składki w kooperatywie, schronisku i t. p., a jednocześnie przyczyniać się w miarę możliwości do akcji ogólnej, zakrojonej na szeroką skalę. Pieniądze, w ten sposób odłożone, nigdy przecież nie przepadną; w razie korzystnej zmiany warunków materialnych mogą zostać użyte na inny cel; w przeciwnym wypadku zabezpieczą nam starsze lata i dadzą w ciągu całego życia spokój i radosne poczucie, że sobie wystarczamy.

Natalja Jastrzębska.

HENRYK GOŁOGÓRSKI

Z ZAGADNIEŃ KRAJOWEJ I MIĘDZYNARODOWEJ OPIEKI NAD MATKĄ I DZIECKIEM

V.

Samo przez się zrozumiałe, że w każdej z pośród powyżej wymienionych grup dzieci, środki oddziaływania wychowawczego muszą być zupełnie odmienne. Innych środków wychowawczych używamy w stosunku do dzieci, chorych umysłowo — a innych środków — do dzieci występnych.

Pierwszą więc grupą dzieci, do których państwo ma prawo i obowiązek zastosować przymus wychowawczy — będą dzieci opuszczone. Pod względem systemu przyjmowania i charakteru opieki, kraje można podzielić na dwie grupy: a) te, w których przyjęto system romański (do nich należą między innymi Polska, Rosja, Włochy, Austrija), oraz b) kraje, gdzie panuje system germański (Niemcy, Norwegja, Szwajcarja). Między temi systemami zachodzą zasadni-

cze różnice. System romański uznaje istnienie podzutek, a co za tem idzie, i domów wychowawczych, które obowiązane są przyjmować każde dziecko, bez względu na zamożność, lub pochodzenie rodziców; następną cechą charakterystyczną systemu romańskiego jest jaknajściślej przestrzeganie incognita oddawcy. Zwłaszcza we Francji i we Włoszech ogromnie się rozpowszechniły domy dla podzutek, odkąd papież Inocenty III zakłada „schronisko św. Ducha“ (anno 1204), gdzie wprowadza poraz pierwszy „kołowrotek“. Była to maszyna, znajdująca się nazewnątrz domu podzutek; do maszyny tej nieznaną osobnik wkładał dziecko, odbierała zaś je administracja zakładu, po zakręceniu koła. Jak widzimy, miało to na celu niezmiernie ściśle przestrzeganie incognita.

Obecnie „kołowrotek“ został wszędzie zniesiony; jednak system incognita został utrzymany, dzięki te-

mu, że oddawca dziecka ma prawo nie odpowiadać na pytania, dotyczące nazwiska rodziców dziecka i ich pochodzenia; w tym wypadku urzędnik sam nadaje dziecku imię i nazwisko.

Wszystkich cech powyższych nie widzimy natomiast przy systemie germańskim, który nie uznaje incognita oddawcy i dąży do odszukania, w interesie dziecka, nietylko matki, lecz i ojca nieślubnego. Wreszcie w krajach, uznających system germański, nie istnieją domy dla podzulków, zaś opieką społeczną otacza się tylko dzieci biedne, znajdujące się w faktycznej potrzebie.

Obecnie we wszystkich krajach z systemem romańskim zniesiono istniejącą doniedawna opiekę zakładową, a na jej miejsce wprowadzono opiekę domową. Reforma ta stała się koniecznością, ze względu na zastraszającą śmiertelność młodych pensjonarzy, dochodząca do 80—100%.

VI.

Opieka nad dziećmi występniemi, którą zkolei wypadnie nam się zająć, ma już swoją historję, lecz zmuszeni jesteśmy streścić ją do kilku słów, odsyłając czytelnika do dzieł prof. Wacława Makowskiego „Prawo karne“ (tom I), prof. Makarewicza „Prawo karne“, oraz umieszczonej tamże literatury.

Początkowo nie zważano zupełnie na wiek dziecka-przestępcy i skazywano je na więzienie pospołu z dorosłymi zbrodniarzami. Że takie postawienie sprawy było zgubne i prowadziło raczej do zwiększenia się przestępczości, zbyt czerpnem chyba dowodzić! I dziwnem się wydaje nam, ludziom XX wieku, że dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia ludność zrozumiała, iż przebywanie dziecka w towarzystwie starych przestępców jest niesłychanie niebezpieczną szkołą przestępstwa. Trzeba było lat całych na to, aby sądownictwo zaczęło stosować inną metodę wychowawczo-społeczną do młodocianych przestępców. Obecnie we wszystkich krajach cywilizowanych jest ogólne dążenie do zorganizowania specjalnych sądów dla nieletnich, do ograniczenia opieki zakładowej do niezbędnych tylko wypadków i do wprowadzenia w jaknajszerszym zakresie opieki domowej (Encyklopedia pr. publ.—Cybichowski, str. 125).

W Polsce przestępczość dzieci znacznie się wzmogła.

Jeśli chodzi o dziedzinę prawnospołeczną opieki nad dziećmi, to mamy rozporządzenie ministra Pracy i Opieki Społecznej z dn. 19 lutego 1920 r. o tworzeniu pogotowi opiekuńczych dla dzieci bezdomnych. Na mocy dekretu Naczelnika Państwa z dn. 7. II. 1920 r. powołano do życia sądy dla nieletnich w Warszawie, Łodzi i Lublinie. Jednakowoż powyższe przepisy prawne, jakoteż prace Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej stanowią jedynie zarys przyszłej pracy ustawodawczej w tej dziedzinie.

VII.

W dziedzinie opieki nad dziećmi choremi, nie-dorozwiniętymi i kalekami możemy raczej mówić o postulatach, i to bardzo gwałtownie domagających się wprowadzenia w życie — ponieważ sprawa zakładów, oraz urządzeń dla powyższej grupy dzieci przedstawia się u nas nad wyraz smutnie. Jak się okaże z zestawień statystycznych, które za chwilę tu przedstawimy, nie posiadamy wcale, albo też znikomą liczbę urządzeń, szkół i zakładów dla dzieci-kalek oraz pokrewnych im grup.

Podczas gdy na Zachodzie Europy już w r. 1796 społeczeństwo angielskie funduje w Londynie specjalny szpital dziecięcy, a w roku 1802 powstaje także szpital w Paryżu — u nas do roku 1905 były w całym Królestwie Polskim tylko dwa szpitale dla dzieci, obydwie w Warszawie. Przed samą wojną b. Kongresówka, licząca około 12 milionów ludności, posiadała tylko 5 szpitali dziecięcych. Jak znikomą była to liczba, wykazują obliczenia sanitarne, według których na 1000 mieszkańców winno być przynajmniej 1 łóżko dziecięce — czyli 12,000 łóżek — podczas gdy wszystkie szpitale dziecięce razem liczyły 455 łóżek (Enc. pr. publ. str. 126.).

Niema w kraju ani jednego uzdrowiska ludowego dla dzieci gruźliczych i skrofulicznych. Dopiero w ostatnich latach otwarto w Otwocku, staraniem Towarzystwa Przeciwgruźliczego „Brijus — Zdrowie“, 2 nowoczesne urządzone pawilony dla dzieci żydowskich, zagrożonych gruźlicą. Obecnie Polskie Towarzystwo Przeciwgruźlicze, rozwijające po całym kraju potężną działalność, daje nadzieję na lepszą przyszłość.

W całym kraju niema ani jednego specjalnego zakładu dla dzieci-kalek. W Bojanowie (woj. poznańskie) powstał przed kilku laty zakład dla dzieci głuchoniemych — obliczony na kilkadziesiąt miejsc.

W tym samym czasie Francja posiada 350 przychodni przeciwgruźliczych, 5 kolegjów i 4 stacje klimatyczne — t. zw. „szkoły na otwartem powietrzu“. W Szwajcarii mówi się nawet o utworzeniu w Davos Uniwersytetu dla piersiowo chorych. Miasto Paryż posiada 39 sanatorjów morskich i klimatycznych — Niemcy — 88 sanatorjów morskich itp. — Anglja ma szpitale i sanatorjów przeciwgruźliczych 441.

Obecnie po wykończeniu sanatorjów przeciwgruźliczych w Busku i Zakopanem posiadamy 4 zakłady tego rodzaju.

Druga połowa XIX wieku, odznaczająca się szybkim uprzemysłowieniem całej Europy, powoduje powstanie olbrzymich skupień proletariatu fabrycznego, a co zatem idzie, i zastraszające szerzenie się gruźlicy i inych chorób piersiowych. W celu walki z tym strasznym wrogiem ludzkości, powstają w całej Europie towarzystwa Kolonij Letnich. U nas propagatorem niezmordowanym tej idei był przedwcześnie zmarły dr. Stanisław Markiewicz. Za jego staraniem powsta-

ło pierwsze u nas Tow. Kolonij Letnich. Obecnie Związek Tow. Kolonij Letnich wysyła corocznie 50.000 dzieci na wieś. Jest to jednak cyfra znikoma w zestawieniu z działalnością podobną na Zachodzie. Częściowo ratują sytuację świetnie zorganizowane i przez rząd wspomagane obozy harcerskie, wysyłające znaczną ilość młodzieży szkolnej.

Jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi umysłowo choremi, to sprawa ta znajduje się u nas dopiero w stadium organizacji, gdy na Zachodzie istnieją już oddawna dobrze zorganizowane zakłady lecznicze oraz, co najważniejsza, szkoły pomocnicze dla niedorozwiniętych umysłowo, których zadaniem jest przez rozwinięcie pozostałych władz umysłowych i zmysłowych swych wychowañców i przygotowanie ich do odpowiedniego zajęcia,—zmniejszyć ciężar, obarczający społeczeństwo, zniewolone do utrzymywania tysięcy nieprodukcyjnych istot.

W Niemczech, przed wojną, istniało 81 zakładów publicznych dla idiotów. W Polsce posiadamy

10 szkół dla głuchoniemych i ociemniałych na 530 dzieci (Encykl. pr. publ. 127).

Do spraw tych ciągle powracać należy i przypominać społeczeństwu, jak wiele do zrobienia jeszcze pozostało. Na państwo i rząd takich obowiązków spychać nie wolno — a dalsze zamykanie oczów na groźne braki, wykazane w pracy niniejszej—grozi nam zwyrodnieniem rasy!

W pracy niniejszej opierałem się na materiałach, zgromadzonych w Encyklopedji prawa publicznego, pod redakcją prof. Cybichowskiego; pozatem na materiałach, będących w posiadaniu Wydziału Opieki Społecznej Magistr. m. st. Warszawy. Czytelnik pragnący obszerniejszych wyjaśnień, znajdzie je w „literaturze”, umieszczonej w końcu artykułu „Dzieci” powyższej Encyklopedji.

Pozatem dzieła: prof. Makowskiego: „Prawo karne”, (tom I); prof. Makarewicza: „Prawo karne”; prof. Jarry: „Idea Państwa u Platona i jej dzieje”; prof. Konica: „Prawo osobowe”; prof. Konica: „Prawo spadkowe wobec nowoczesnych prądów w prawie cywilnem”; prof. Cybichowskiego: „Prawo międzynarodowe”; prof. Dydzińskiego: „Źródła prawa rzymskiego”.



M. H. SZPYRKÓWNA

NIECO O „BIAŁCE”

— I nie mogłam się od niego wkońcu wywieść, czy mi sprzeda te swoje morgi, czy nie?... — opowiadała mi jedna z nabywczyń — zaiste, szczęśliwych nabywczyń! — owych mórg nad morzem, na Kaszubach. — Kręcił i kluczył, aż wreszcie się przyznał, że teraz mi nie odpowie, bo musi się poradzić „białki”. Tak dziwacznie nazywają swoje kobiety.

— Niekoniecznie dziwacznie! Może to sobie być taki skrót obiegowy, od staropolskiej białogłowy — wyraziłam swoją opinię. — Dowodziłby nawet pewnej pożądanej prapolskości!

Losy zdarzyły, że obecnie — w chwili, gdy to piszę — jestem naocznym, niejako, gościem okolic kaszubskich nad polskim morzem. Dziwne to i niekoniecznie dla nas miłe, ale zdaje się, że dla kaszubów — Kaszubja i Polska, są krajami raczej odrębnymi, a w najlepszym razie państwem w państwie. I jakkolwiek dziesięć lat zrobiły w tem pewien wyłom, rzeczywistość jest daleka od idylli, sugerowanej nam nieraz przez różowe szkiełka patriotycznego optymizmu. Ale jest to, oczywiście, działem raczej polityki męskiej.

Byłam jednak zaskoczona pewnymi spostrzeżeniami co do kobiet, zwłaszcza, że sprawdzałam je w rozmowach z kobietami pozamiejscowymi, których opinie wypadały analogicznie. Jedna z nich mieszka na miejscu od wielu lat.

— Co do mężów, to nie można powiedzieć: kobiety prędzej im przewodzą. Jak, nie daj Boże, mąż co postanowi naopak, to tyle najazgoczą, i nagadają, i naurągają, że do śmierci zapamięta. Ale co do dzieci, to nie daj Panie Boże! Ani posłuchu, ani uszanowania, ani karności. Dziecko na matkę woła w złości najgorszymi słowami. Rodzice nad dziećmi nie mają, można powiedzieć, żadnej władzy.

— No, ale w czym się to przejawia? Przykładem?

— Ano, na przykład, raz przy mnie po jedną dziewczynę przysłali z pensjonatu, gdzie służyła, że musi iść, bo już przeterminowała swoje wychodne, i właścicielka gniewała się, że ma przez to kłopot. Matka zwróciła jej uwagę, że czemu lata po ulicy z zabawami, skoro musi już być na miejscu. A na to ona, choć może miała ze szesnaście lat: — A ja ciebie pytam, gdzieś latała za młodu, taka owaka?!.. — I to

słowami, których nawet powtórzyć nie sposób. I ani nawet poszła, tylko wróciła na ulicę do swoich. I małe dzieci, jak tylko matka na nie krzyknie, odwrzaskują byle co.

— A czy matki istotnie nie dają powodu swoim prowadzeniem do takich uwag ze strony dziewcząt?...

— Może potrosze i dają. Pracować — pracują. Czysto koło siebie i w domu mają też. Ale harde to, zniemczone i do rodziców mówi: — Ty!

Zastanawiałam się nad temi uwagami i sama rozmawiałam z kobietami. Idzie trudno. Kaszubi są wogóle nieufni do każdego, kto nie jest kaszubem. Poznaniaka jeszcze traktują względnie, jako sprzymierzeńca „z pod jednego Niemca“. Wszystko pozatem jest obce, jeśli zgoła nie wrogie. Nieufności ich niema granic. W rozmowie o świeżo sprzedanej przez sąsiadkę ziemi, którą nabył ktoś z moich znajomych, kaszubka zainteresowała się ceną.

— To jak droga ta ziemia będzie?

— Nie wiem. Jakoś nie zgadało się o cenie.

„Białka” mrugnęła porozumiewawczo i chytrze,

— Ohe! Pani to piękne wie, tylko pani ne powe.

Ohe!

— Dlaczego? Nie mam żadnego interesu, żeby nie powiedzieć. A przytem, możecie się zawsze dowiedzieć od sąsiadki. Nie?

— Tak ono jest. A telko pani to piękne we! Ohe!

I na to nie było żadnej rady, tak samo, jak na wątpliwość, czy prawdą jest, że nie każdy letnik chce wyzyskać kaszuba i czy ceny za produkta należy miarkować ich wartością, czy też wyglądem letnika.

O tradycyjnych strojach mowy niema. Ambicją młodych kaszubek jest ubrać się tak, aby nie różnić się od przyjezdnych letniczek. Bluzki, sweterki, pantofelki, kapelusze. Na wsi w małym kościółku widziało się bereciki nad opalonemi, jak burak, twarzyczkami, grzebyczki i wstażki u dzieci. Nawiasem mówiąc, polszczyzna jest nadzwyczaj swoista, nawet w śpiewach kościelnych. O samej mowie kaszubskiej, którą większość porozumiewa się między sobą, trudno mówić, jako o języku bieżącym polskim: mowa ta jest męczennicą, wkręconą w koło niemieckiej tortury, które ją długo i pracowicie wyciągało ze stawów, tak że teraz nastawić jej tak szybko się nie da. Wyrazy są tak zniekształcone i zniemczone, że z trudem i długo trzeba się doszukiwać pierwowzoru, a czasem wogóle doszukać się go nie sposób. Przedziwne dzieje! Starcy nie raz nie umieją wcale ani po polsku, ani po niemiecku: są kaszubami w mowie, myśli i uczynku.

Wiek średni zna doskonale niemieczynę i najslabiej — polski. Młodzież ostatniej edycji zna polszczyznę ze szkoły, jakkolwiek w domu mówi wciąż po kaszubsku. Niemieckiego natomiast nie zna wcale. Czynnikiem spolszczającym są między innem i ci, którzy odbyli wojskowość; ci mówią dobrze i wracają pogodzeni.

Polska jeszcze niedostatecznie zajęła się zasymilowaniem tych swoich zobczonych dzieci. Książka nie ma jeszcze nad nimi władzy: nie potrafią czytać. Natomiast system najnowszy stowarzyszeń i kółek miałby ogromny i szybki wpływ, gdyby — dość było wytrawnych i uspołecznionych kierowników. Niestety! zazwyczaj może nim być tylko nauczyciel miejscowej szkoły. Największe powodzenie, naprzykład w miejscowości, gdzie jestem, miały chóry, zorganizowane przy szkole. Kaszubki lubią śpiew i mają podobno ładne głosy. Dziewczęta i chłopcy śpiewali na cztery głosy i urozmaicali sobie wieczory milszą i kulturalniejszą, niż zwykle, rozrywką. Znakomitą atrakcją są także przedstawienia amatorskie, których nigdy nie jest dość. Dobry film, lub świetne obrazy, przy pogadance o sprawach ekonomicznych, wytwórczych, gospodarczych, rolniczych, lub podróże — miałyby napewno wielkie wzięcie i znakomicie odciążyły tendencje taneczne, tu nadzwyczaj zaznaczone. Do „stepów“ i „stonów“ jeszcze nie doszło, ale młodzież tańczy z zapalem, godnym lepszej sprawy. Trzeba dodać także, że w młodem pokoleniu fach rybacki upada zupełnie.

Wiemy aż nadto, że kobieta wychowuje pokolenia. Od kaszubskiej „białki“, która rośnie w zniemczonych tradycjach, „tykając“ rodziców, mając „szatyna“ przed ślubem, zarabiając na pantofelki i bluzeczki miejskie i tańcząc czy ma czas, czy go nie ma: trudno oczekiwać powrotu do majestatycznej białogłowy. Ale jakiś typ, bardziej naszemu narodowi właściwy, przecieżyby dał się urobić. I myślę, że letniczki winny dać im coś więcej ponad modę i napiwek, przyjeżdżając nad morze, od tak niedawna polskie! Pomysłmy o tem! Niejednej z pań nie przyszło może na myśl, że dużoby zdołała zdziałać, wchodząc w bliższy kontakt z rybaczką, u której mieszka, z dziewczyną, która jej służy, z przygodnie spotkanemi kobietami. Gdyby jeden wieczór w tygodniu te, które się znają na śpiewie, poświęciły pieśni z kaszubkami — te, które się znają na przemawianiu do serc dzieci, poświęciły nauce o szacunku dla matki — te, które się znają na czembądź, podzieliły się tem, na czym się znają: „białka“ kaszubska możeby istotnie... wybielała duchowo i zmieniła — a z nią i jej mąż — zdanie o przybyszach „poluszach“.



FELICJA KRUSZEWSKA

DROGA DO KRZEMIENCA

Już wszystko było spokojne, zamknięte niebieską dalą,
już wszystko było cichutkie, ujęte w znajome ramy:
na wielkich, płaskich równinach zboża pieniały się falą,
poziomki pachniały w lasach, świerki sączyły balsamy.

Drogie stawały się stopom przydrożne szarawe piaski,
jak siostry, bywały miłe małe potworki-sosenki,
i tylko czasem wiatr przywiał i zmącił miłe obrazki
i dźwięczał tęskniącą nutką innej, dawniejszej piosenki.

Pociąg turkotał zwyczajnie i nic nie zechciał powiedzieć.
Biegły za oknem równiny, szybko cofały się lasy.
Gwizdki krzyczały o stacjach, dym walił kłębem na przedzie.
nocą migały przy drodze podłużne, złotawe pasy.

A potem wspięła się skała i niebo piersią rozdarła,
falami wzdęła się ziemia, szczęściem targana, jak w męce.
Jar grunty do dna przekroił, przestrzeń się za nim otwarła,
gnała przed siebie bez kresu i w słońcu topiła ręce.

Dróżki po stromych zboczach skreśliły szalone szlaki,
wiły się trawy srebrzyste, na głos wołały doliny,
zachwiały się wokół kolan, załopotwały bodiaki,
ogniem przez serce przeleciał szeroki wiatr z Ukrainy.

Dyszał w niem, targał, szamotał i krzyczał z gwizdem: niech pęknie!
Skały, pędzące z góry, zawisły w śmiertelnej grozie.
Dęby buchnęły zapachem, zaszeleściły najpiękniej
i oczy od łez oślepiły w ciemnym, zielonym wwozie.

NOC NA GÓRZE BONY

Jeśli nocy się oddam, noc za mnie rozstrzygnie,
pochwyci i zanurzy w chłodnym aksamicie.
Wiatr skrzydłem mnie owinie i w górę podźwignie
i postawi wśród ruin samotną na szczycie.

A dalej jest już niebo, więc nie pójdę dalej.
Wiatr opadnie z westchnieniem i nie skończy jazdy.
Spojrzę na dół przez nocy granatowe fale —
w dzień widać tam Krzemieniec — teraz widać gwiazdy.

Bo góra jest, jak wyspa, czarami dotknięta,
wtopiona w płynną ciszę i noc granatową,
od ziemi oderwana i niebem zamknięta,
wisząca nad gwiazdami, z gwiazdami nad głową.

Niebo prószy wciąż złotem i jar złotem pyli,
i wszystko jest możliwe, jeśli noc tak zrządzi —
a może się Wóz Wielki, zwiedziony, omyli,
zboczy z wiecznego szlaku i w drodze zabłądzi?

Runie w płomieniach na dół, popędzi po stepie,
górze i całe miasto w pył gwiazdzisty zetrze —
a ja, jak mały chłopiec, drążka się uczepię
i polecę wysoko w drgające powietrze.



B A B Y

Spotykali się ze stałą odmową: — Tfy! Baby! Idźcie sami — klepał ich protekcjonalnie po ramieniu. Żegnał się i włóczył do późnej nocy po mieście, wśród pustych ulic i wymarłych, upiornych, rzędami wlokących się, domów.

Koledzy czasami wracali zachmurzeni. Jeden miał podbite oko, drugi nie mógł doliczyć się pieniędzy. Inny znów po kilku dniach zaczynał odwiedzać lekarza. Wtedy Józiek uśmiechał się zwycięsko:

— Aha! mówiłem! Baby, baby, baby! dobrze wam tak. A jeszcze mnie ze sobą ciągnęli!..

Nigdy nie dał się skusić. Podobnież i dziś błędził po porcie samotny, zastanawiając się nad urządzeniem sobie noclegu. Znalezienie w takich warunkach człowieka znajomego, a w dodatku dalekiego krewnego, było rzeczą nie do pogardzenia.

III

Zaszewskich znał Józiek z Czerkas, gdzie ich łączyły jakieś stosunki z jego ojcem. Byli to zresztą odlegli powinowaci, piąta woda po kisielu. Ludzie naogół mili i serdeczni.

Rozgościł się tedy wśród zycziwej atmosfery, opowiadał o Czerkasach, o swej pracy i o przygodach. Chętnie się trochę tem, co przeżył, wobec nich, niemrawych i ociężałych.

Do obiadu szło wszystko, jak z płatka. Ale tu wybuchła niespodzianka. Przy stole, obok Zaszewskich, zasiadła wiotka, piegowata panienska, w czarnym fartuszkach i mundurkach.

— Panna Zofja — przedstawiał Zaszewski. — I w dodatku rodaczka pańska: z Czerkas pochodzi.

Józiek skrzywił się pogardliwie. Poznał ją odrazu: była to ta sama, która mu zabrała Władka — przyjaciela... ta sama gęś, choć trochę wyrosła. Lustrował ją z pod oka: piegi, włosy blond, zadarty nos... Smarkata. Baba. Józiek nie poświęcał jej ani zdźbła uwagi. Ciągnął dalej swe historie, przygody, opowiadania. Zwracał się bezpośrednio do Zaszewskich; nikogo poza nimi nie widział przy stole.

Kiedy podano kompot, stało się to najgorsze. Klucząc i zagadując, Zaszewski sprowadził rozmowę na tory panny Zosi. Uciekła z Czerkas dla bezpieczeństwa z matką do Odesy. Ojciec jej został w Czerkasach, a matka...

Zaszewski westchnął. Panienska schyliła głowę, i Józikowi zdawało się, że słyszy cichutkie łkanie.

...A matka umarła. Przed miesiącem. Tak, tak... tyfus. Panna Zosia jest bez opieki i musi wracać do Czerkas. Obiecali ojcu, że ją odeślą do domu pod dobrą opieką. I tu właśnie, jakby z nieba zesłany — Józiek!

Józiek patrzył nieprzytomnym wzrokiem. Co takiego?... on właściwie nie rozumie...

Więc Zaszewski wyjaśnił: Józiek jedzie dziś do Czerkas. Niech weźmie pannę Zosię ze sobą i zapiekuje się nią... To przecież taka drobnostka. Och! on wie... Józiek napewno nie odmówił

Panna Zosia siedziała w milczeniu, zlekka tylko zaczerwieniona, smukła i drobniutka w swym brązowym mundurku. Zaszewski rozpoczął formalne obłożenie. Józiek z początku się opierał. Usiłował odmówić. Ale gdy panienska wstała od stołu i wyszła z pokoju, ogarnęła go kompletna depresja. — Dobrze — machnął ręką zrezygnowany — niech będzie!... Ale on za skutki nie odpowiada. O wygodach też niema co mówić. Albo — „czeka...“ Puk, puk... i skończone. Tam długich rozmów nie prowadzą.

— Zosiul! Zosiul! — wołał Zaszewski — pakuj swoje rzeczy! Jedziesz do tatusia... Po chwili, opierając się wprowadził znowu do pokoju. Jej małeńka twarzyczka zmięta była łzami. Uśmiechnęła się do Józika: — to pan mię weźmie ze sobą? Tatus będzie taki wdzięczny! I ja, i ja też...

Zupełnie zdezorientowany, zgadzał się na wszystko. Pograżony w chaosie, biegł na pociąg zbierać informacje.

IV

Na stacji powiedziano mu ni to, ni owo. Flegmatyczny urzędnik radził zgłosić się o 6-ej. Może coś pojedzie w tym kierunku.

Zanurzwszy się na chwilę w morze kolejowych zagadnień, Józiek zdołał już zapomnieć o swym kłopotcie. Tem mocniej zato myślał o nim na ulicy. — No i co ja będę robił z tą babą?! — powtarzał sobie, zrozpaczony. — Psiakrew! Djabli ją nasłali!

U Zaszewskich spotkała go panna Zosia, wesoła, różowa, pełna śmiechu. — Smarkata! — zagrzytał oburzony. — Ty sobie, człowieku, łbem bij o ścianę. A ona... — pogardliwym wzrokiem zlekceważył stojące na podłodze pod ścianą skórzane walizki. — Nic z tego — oświadczył kategorycznie. — Żadnego bagażu! Ciepłe palto, rękawice, no! może być chlebak i manierka. Najlepiej gorące kakao... to rozgrzewa.

Panna Zosia słuchała go oszołomiona. Jako? A walizki? Suknie? Wiersze Bloka? Album i fotografie?

Ale Józiek był człowiekiem okrutnym. Z rozkoszą odmalowywał jej prawdziwe oblicze sytuacji. Horoskopy podróży... Ona pewno myśli, że pojedą, no, chociażby drugą klasą. He! Tak, tak, tak ongiś bywało. Ale dzisiaj... — I Józiek wesoło opowiadał: — jeździ

się na dachach, na buforach, w węglarce, na lokomotywie. Panna Zosia pewno nigdy jeszcze tak nie jeździła; to bardzo ciekawe; emocje conajmniej takie, jak w szkole, przy łacińskim wypracowaniu. Wesoło, wesolutko. Z jedzeniem? A jakże! zawsze się coś zje raz na 24 godziny. I wypije także... Oczywiście, oczywiście. Czasem nawet kieliszek czyściutkiej... Panna Zosia pewno nigdy jeszcze wódki nie piła? To doskonały, wzmacniający napój.

Panienska zbladła, lecz Józiek nie dał za wygrane; zgóry mścił się za wszystko: za wszystkie kłopoty; za przykrości, jakie przez nią przecierpi. Przez nią, przez babę!

Gdy Zaszewscy nadeszli koło godziny 5^{1/2}, panna Zosia bliska była płaczu. Józiek siedział wygodnie w fotelu i z niewzruszoną twarzą zimnego stoika ciągnął swe straszliwe opowieści. Rzucił okiem na zegar.—Czas w drogę!—oświadczył kamiennym głosem.—Odprowadzić? Ach! o tem niema mowy. Pociąg może ruszyć zaraz, a może i o 12-ej w nocy.

W czasie załzawionego pożegnania panny Zosi z Zaszewską, ziewnął ostentacyjnie kilka razy. Sucho uściskał ręce, potem wyszli na ulicę.

Dreptała obok, po prawej stronie, drobnymi, żwawymi kroczkami, usiłując daremnie wpaść w takt długich i wolnych kroków Józka.—O Boże! za coś mię pokarał?!—jęczał w duchu, zrozpaczony.—I co ja z nią zrobię, z tą babą, tą ohydą, przekłętą, wstrętną babą?! Zginałem!—Wyszli na peron. Żołnierskim, ostrym tonem, patrząc w bok, kazał jej usiąść i czekać. Sam znowu pobiegł na zwiady.

Gdy wrócił, siedziała na brzeżku ławeczki skurczona i skulona, obok trzech niewyraźnych osobników, zdradzających wobec niej oczywiście zaczepne tendencje. Pochmurnym wzrokiem ocenił sytuację.

— Nie szkodzi—zadecydował—niech się przyzwyczai. Nie będzie taka delikatna.

— Niech panienska wstanie! — zakomenderował ponownie. — Porwała się pośpiesznie.—Jedziemy! to przecież świetnie. A on tak pesymistyczne stawiał prognozy!

Milczał. Nie uważał za stosowne wtajemniczać jej w istotny układ stosunków i w męski rozmach swoich planów. I tak nie zrozumie—przecież to babal! Tylko konkluzje będzie jej podawać i basta.

Pociąg, którym mieli jechać, stał na torze nr. 12. Składał się z lokomotywy i kilku tylko towarowych wagonów. Właściwie nikt nie wiedział, dokąd ten pociąg jedzie. Zawiadowca udzielił niezmiernie mętnych informacji. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: szedł on w kierunku posterunku nr 4 i do tego posterunku musiał dojechać. Była to sprawa 10 kilometrów.

Potem linja kolejowa rozgałęziała się w dwie strony: na południe i na północ. Ta droga prowadziła do Czerkas. Józiek miał taki plan: jeśli pociąg idzie do Czerkas, to wszystko w porządku. A jeśli skręca na południe, to trzeba będzie wyskoczyć i czekać na posterunku. Może nadejdzie coś, jakiś towarowy, lub lokomotywa.

V

Poraz pierwszy w życiu znalazła się panna Zosia wewnątrz szorstkiego towarowego wagonu. Dawniej bywało inaczej: jeszcze z Czerkas do Odesy jechała sobie wygodnie, wśród miękkości i aksamitu 2-iej klasy. Ciepło było z grubego pledu, z troskliwych słów matczynej pieśczoły. Pamiętała jeszcze czerwony papier tabliczki Velma, rzuconej na lakierowany blat kolejowego stolika.

Teraz...

Józiek siedział we drzwiach wagonu, zwiesiwszy nogi wdół, ku ziemi, skręcając w palcach papierosa. Mówiąc prawdę, był zadowolony. Narazie szło wszystko, jak należy.

Zawołała nań po mieniu:

— Panie Józku!... tu niema na czym siedzieć! Chyba... na podłodze...

— Niema na czym siedzieć, niema na czym siedzieć... przedrzeźniał uszczypliwym głosem.—A panienska, co? ławki chce? krzeselka? fotelika?... Nic z tego! Tu, panie dzieju, wszystko jest surowe! Bez żartów! Ten wagon? Kto go tam wie, może to nawet po tyfusowych chorych?

Zobaczył jednak, że przebrał miarę. Skurczona w kącie, płakała cichutko bolesnymi łzami obrazy i samotności. Chwyliła go litość.

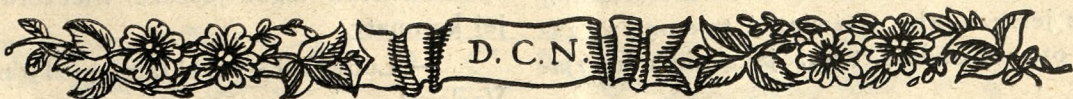
— Niech panienska nie płacz! — usiłował złagodzić swój głos — bek nic nie pomoże. — Podeszedł do niej. Pełen wahania położył jej rękę na ramieniu. Drgnęła.

— No, już koniec, będziemy przyjaciółmi!

Uderzyła weń oczyma.—A to bestjal — pomyślał — patrzy głęboko. — Będziemy przyjaciółmi. Zgoda? — I przemocą ścisnął jej dłoń.

Wtedy uśmiechnęła się najlepszym z dziewczęcych uśmiechów i Józiek poczuł, że uśmiech ten w odpowiedzi wymaga czegoś podobnego. Śmiał się więc szerokim, głośnym śmiechem. W tej chwili pociąg ruszył. Porwała go siła energii i rzuciła nim w Zosię. Przepraszał ją serdecznie; siedzieli potem obok siebie w milczeniu.

— Cóż to jest?—pytał samego siebie.—Coś się ze mną dzieje...



MAURICE RENARD

4)

BZIK PANI D'ESTRAILLES

przełożył *Gabryel KarSKI*

Nie myliłam się. Niebawem spotkałyśmy La Rive, poszukującego nas wśród głośnych hałasów.

Koło było prowizorycznie umocnione. W Maucroy zamieni się je na nowe. Siadłyśmy tedy w kolasę i ruszono w drogę.

Noc zapadła tem ci rychlej, iż na niebie nagromadziły się gęste chmury. Z uwagi na owo koło trzeba nam było wystrzegać się pośpiechu. Zużyłyśmy na przebycie tego ostatniego etapu siedem godzin. Siedem godzin, które w dwójnasób nam się wydały, bowiem między panią d'Estrailles, a twoją oddaną służką zapanowało jakoweś zakłopotanie, które, być może, ja tylko sama odczuwałam i o którym nie potrafiłabym zdecydować: czyli płynęło raczej z łączącej nas tajemnicy, czy też z milczenia, jakieśmy na ten temat zachowywały. Bądź jak bądź, słysząc nasze klektańskie o tem i owem, nikt nie przypuściłby, jakie to skandaliczne intermedium przecięło nasz wojaż.

Przybyłyśmy do Maucroy o północy, wśród zupełnej ciemności.

Wielki spotkał nas tam zawód: karmazynowe dragony w przeddzień już wyruszyły były w odmarsz; Marszałek ze switą na czele.

Mówię tu o swoim tylko zawodzie, trudnoż mi, bowiem, przypuścić, by pani d'Estrailles takowemu rzeczy obrotowi—po swem, jakże świeżem wykroczeniu—mogła być krzywa. Niełacno-ć atoli przejrzeć, co sobie Ludwiczka myśli, albo nie myśli!

Jakiebądź były nasze uczucia, wypadło tam zażyć noclegu—i to noclegu samotnego. Gotowano nam właśnie pokoje w gościńcu, gdy zaanonsował się hrabia de Maucroy. Przyjęłyśmy go natychmiast. Zaczny ten hrabia, którego niegdyś widywałam w Wersalu, przypomniał mi o tem całę stosownie. Zapytał był, kto zacz byli owi podróżni, tak późną nocą przybyli, a skoro tylko podano mu nasze nazwiska, przybieżał niezwłocznie. Hrabina i on nie chcieli nawet słyszeć, byśmy miały przenocować gdzieindziej, jak w ich pałacu. Prosił, byśmy poszły wraz z nim, ku czemu pokwapiliśmy się bez ceregieli.

Był wtorek. W piątek tkwiłyśmy tam wciąż jeszcze. Nasz wehikuł nie był temu powodem; lecz oto burza, o której bliskości wspominałam ci, wybuchła wnet z chwilą naszego zakwaterowania się i od tej pory deszcz nie ustawał ulewny.

Upewniam cię jednakże, iż śpieszno mi było odjeżdżać, nietylko gwoli zakończenia tak niefortunnej wyprawy, lecz jeszcze, aby wyświetlić tajemniczą zagadkę, którą oto ci podaję taką, jaką się nam zjawiała.

Przybywszy do Maucroy, jęłam rozważać, czy nie byłoby przezornem podać do wiadomości fakt naszej u pana de Verluys wizyty. Zamieszkiwał-ci on nie tak odlegle, by nasi gospodarze nie mieli go znać, i, jeśliby kiedy markiz wspominał mu o nas, cóżby też pomyślał o takowem naszym silentium?

Pani d'Estrailles ni słowem o onej się przygodzie nie odzywała. Przecię, rzecz o niej należało bezzwłocznie, lub też — wcale. Ważyłam się frasobliwie przez godzin kilka, zaczem, decyzję powziawszy, wtrąciłam w rozmowę, niby echo faktu bez znaczenia, wiadomość o tem, żeśmy były zażyły odpocznienia pod dachem samotnego szlachcica, o sześć mil od Maucroy zamieszkałego — markiza de Verluys.

— Ciekawa personal! — rzekł hrabia. — Od szeregu już lat wie dzie w swej rezydencji ten żywot filozofa-odludka, jakim go panie zastałyście. Mizantrop rozmiłowan w Przyrodzie — to Alcest i Jan-Jakób w jednej osobie; krótko mówiąc: dziwak zeń. Biedaczysko Verluys! Jakże on się trzyma! Ojciec mój komers z nim nieważ niekiedy. Jednych lat byli. Ha! dziewięćdziesiątka stuknęła mu już napewno! Chłop zeń olbrzym zaiste! Ale jakież paskudne oblicze, prawda? całę popsowane od ospy,...

Na te słowa, zmieszałam się niemało. Dzięki onemu konterfektowi markiza, ukazały mi się wszystkie ciemne linje naszej przygody. Niewątpliwie w Verluysier'ze zażyłyśmy postoju (na to mnogość niezbitych miałam dowodów); jednakże człek, który nam był zgotował przyjęcie, nie był panem de Verluys!

Nie mogłam powstrzymać się, by nie spojrzeć na panią d'Estrailles. Słyszała była słowa hrabiego. Oblicze jej pozostawało nieprzeniknione.

Odzyskawszy dech, którego mi było zabrakło, ozwałam się:

— Pomyślałyśmy, iż samotność pana de Verluys była wówczas przypadkowa... Jakże! ani pachola w izbie czeladnej, ani ogrodnika w wirydarzu?

— Nikogo zgoła. Dziesięć palców... oto wszystka jego służba.

— I nigdy pan de Verluys nie opuszcza swej rezydencji?...

— Nigdy — odrzekł pan de Maucroy.

Rozmowa odmiennemi potoczyła się tory; pani d'Estrailles bynajmniej nie trudziła się ku jej podsycceniu. Lecz tegoż jeszcze wieczora wtargnęłam do jej komnaty.

— Ludwiko! — rzekłam. — To nie był pan de Verluys!

— Och! Och! Warto też się tak przejmować! — odparła. — To nie był pan de Verluys. I cóż dalej?

Obezważniała mnie poraz niewiedzieć już który.

— Dobrze, dobrze, — mruknęłam.

Przecież zdawało mi się, iż pod oną maskarą obojętności dumna księżna marszałkowa d'Estrailles śnać skrywała rozdrażnienie, iż oto została była w pole wywiedziona, a konfuzję, wywołaną doznany depektem. Zaszłam ją z za węgła.

— Nie o ciebie chodzi — rzekłam — ani też o tego, kto odegrał rolę osoby markiza...

— Odegrał? — zachnęła się. — Odegrał... nie strojąc się w cudze nazwisko!

— Zgadał... Chodzi o markiza i n p e r s o n a m. Gdzież owo podziewał się?

— Tę przy tobie! Konieczność wizyty do Verluysier'y nasuwa się. Sprawa ta mniej krzywa, aniżeli sobie imaginujesz, wszelakoż dość ciemna, abym, podobnie tobie, uznała potrzebę jej wyświecenia. Za powrotnym wojażem wstąpimy tam.

Tak postanowiono. Lecz deszcz wciąż lał bez przerwy; wyjazd byłby szaleństwem; czekałyśmy więc.

Nadto, nie mogłyśmy lepszego pragnąć hospicium nad dom państwa Maucroy. Jest to istny pałac w miniaturze, a mieszkańcy napełnili go nadobnymi przedmioty. Pasja kolekcjonerstwa znalazła tu żywy wyraz. Hrabia posiada zbiór kamej, godny głośnej renomy; niektóre z pośród najstarszych były wykopane z gruntów okolicznych, a jedną z nich, wzbudziwszy zachwyt pani d'Estrailles, została jej, mimo gorące protestacje ofiarowana. Jest to postać młodego rozsmianego satyra, o drobnem kopicie i spiczastem uchu, tak misternym kunsztem oddana, że możnaby przysiąc, iż go się było spotkało na ziemi.

Co się tyczy hrabiny, zbiera ona wszelakiego autoramentu cacka i figliki, których pokazowanie ty-leż jej samej sprawia przyjemności — ile podziwiał-cemu je gościowi. Lubuje się osobliwie w świecidłach, błyskotkach wszelakich, we fraszkach białogłowskich, i, ma się wiedzieć, ostatnia akwizycja zawsze jest jej benjaminkiem. Owóz wielce sobie wlaśnie chwaliła kolję z ziarnistego złota, nabytą przez nią za ledwie przed niespełną niedzielą, a która, jak to ujrysz, nagle wplątała się w nasze sprawy.

Hrabina rzecze nam pewnego wieczora, migocząc ową kolją w blasku świec:

— Osobliwy to był przekupień, kto mi ją sprzedał. Wędrował z Flandrzej i powracał w swoje strony, kupcząc różnemi drobiazgi. Maur, piękniejszy od posagu. Klejnot ten był jego istą własnością. Niemało nachodzi nas takowych włóczęgów, których tu i owdzie

wieszają, a których dobrzeby było wytrzebić co do nogi. Trzyma się to dumnie, wyniosłą mamiąc postawą, a zdolne do najgorszych wyczynów. Rzekłbyś, że to bogowie, widząc ich przechodzących, a naprawdę, to hultaje...

Tu pani de Maucroy urwała, by zapytać mię, czym zasłała — z uwagi na błądność, jaka nagle wystąpiła mi na obliczu. Rzekłam jej, iż to skutek waporów, niedomaganie chwilowe. Ale pojmiij moją emocję! Jakiż śmiertelny chłód mię ogarniał! I cóż za ista amazonka z tej pani d'Estrailles, która nawet ani była drgnęła!... Ach! od chwili onego jej wykroczenia, nie miałam już spokojności sumienia; wyrzucało mi ono, że oto ułatwiłam takowe zbłądzenie — swą uprzejmością, lęklwym bezczynem, sprzyjającym silentium, i najdrobniejszego imało się pretekstu gwoli przypomnaniu mi o tych grzeszech, tudzież o okazji, która je była umożliwiła... „piękniejszy nad posagi... Maur... Rzekłbyś, że to bogowie“... Ah! otóż prawie, powiadałam sobie, konterfekt to nieznajomego „hultaja“! Cóż on uczynił z markizem, ten afrycki „włóczęga“?!

Kupiono się z atencją dokoła mnie. Marszałkowa podała mi ku trzeźwieniu flakon z solami; poskutkowało to mniej rychło, aniżeli niezłomność jej spojrzenia. Wróciłam do życia, — o ile życiem nazwać można ustawiczne konanie z niepokoju.

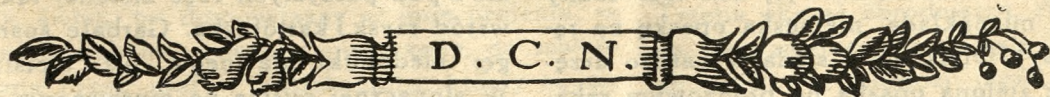
Wobec ustania dżdzu, pożegnałyśmy gościnnych gospodarstwo.

Drogi, namokłe, były już tylko ciągiem kałuż i strumyków. Sądziłam, że już chyba nigdy nie do-trzemy do Verluysier'y i nie mogłam wytrwać na siedzeniu w kolasie, gdy natomiast pani d'Estrailles była spokojna i niewzruszona, niczem sfinks egipski. Losy prawego paña de Verluys zdawały się nie więcej ją obchodzić, nizeli losy żywej istoty rzekomego markiza. Śnać chłód panujący i melankolja nieba przywróciły jej powagę. Mirza na swem posłaniu spała niefrasobliwie. Jej pani klektała o wszystkim, krom tego, co zajmowałoby mię tak żywo; ledwo dawałam jej posłuchu, wszystka pochłonięta myślą spieszego przybycia na miejsce.

Pozostawiwszy pojazd na gościńcu u wylotu alei, ruszyłyśmy nawilgłym trawnikiem, za całą eskortę mając jeno suczkę.

Las trudny był już teraz do poznania; zmętniały i opustoszon, wraz z dostojną wspaniałością stracił swą tajemniczość.

Gdysmy zbliżyły się do pałacu, jał padać drobny deszczyk (Miałam za paskiem wielki pistolet i trzymałam dłoń na jego kolbie).



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

1200 KILOMETRÓW AUTEM W TRZY DNI

Z automobilowego raidu pch

Godzina piąta i pół rano. Z za przeciwległej kamienicy podnosi się leniwe słońce. Jemu się też nie chce wstać, choć nie było na premierze „Królowej Jadwigi“ Joteyki i nie szukało sobie przez pół dnia automobilowego płaszczka, nie dobierało sobie odpowiedniego do swej świetlistej głowy hełmu, a tembardziej... zielonych okularów. Komuś, kto sobie swobodnie wędrował po niebie przez całe wieki, kogo dopiero Jozue zatrzymał. i to na kilka godzin, a Kopernik z Galileuszem z trudem osadził na miejscu, temu, rzecz prosta, nie snią się kłopoty literatki, której zachciało się brać udział w raidzie automobilowym.

Zaskrzypiały drzwi. — Proszę pani, już szosta! — Zaczyna Kasia, Anioł Stróż śpiochów, przypomina o rzeczywistości. Nie miała baba kłopotu, wymyśliła sobie raid. Z ciężkiem westchnieniem naciągamy wełniane pończochy (wedle rady pani Well), kostjum, pull-over, płaszcz koloru kurzu; z hełmem jest najgorzej, bo zakrywa uszy; czuję, że krew mnie zalewa z gorąca i pośpiechu, jeszcze parę paczek ze śniadaniem ginie w otchłaniach płaszczka, ostatni haust wystygłej herbaty do gardła, małe neseser do ręki (więcej nie wolno) i jazda! O 6-ej i pół, wedle rozkazu, jestem na Placu Saskim. Tłum gapiów przygląda się ustawionym pod sznur samochodom, wyświeżonym, jak panny na dancing. Każdy na przodzie fartucha ma numer porządkowy: czerwony na białym tle. Jest tych numerów dziesięć. Od bardzo wspaniałego pana, którego wszyscy tytułują komandorem, dowiaduję się, że mam jechać siódemką.

Komandor! Coś mi ta nazwa przypomina. Aha! już wiem! To Don Juan zaprosił na ucztę posąg Komandora. Ten niewinny figiel skończył się dlań fatalnie. Ja wprawdzie nie mam bynajmniej zamiaru zapraszać komandora na obiad, ale, o zgrozo! to on mnie przecież zaprasza do „siódemki“. A prosiłam mego wydawcę, żeby mnie ubezpieczył od wypadku!

Odpowiedział mi wymijająco. Snać przeczuwał, co się święci. Na szczęście, pani, prowadząca siódemkę, ma w bransoletce ślicznego św. Krzysztofa z błękitnej emalii. Pokazuje mi go z dumą.

— To od moich przyjaciół, których woziliłam autem.

Oddycham z ulgą. Więc nie jest tak bardzo źle. Widać ich nie uśmierciła, skoro jej dali taki ładny upominek. Ktoś mi nakłada niebieską opaskę na rękaw (godło prasy). Obok mnie siada w bardzo urzędowej czapce, z zieloną opaską na brązowym rękawie

skórzanego płaszczka — komisarz raidowy (Panie, prowadzące wozy, mają opaski żółte). Zresztą wokół nas kręci się mnóstwo wytwornych kostjumów sportowych, jakieś barwne berety, jakieś nieprawdopodobne pończochy, które muszą być zawsze tam, gdzie się wyczynia coś sportowego. Z tego całego rowowiska ludzi i maszyn niepostrzeżenie odrywa się co chwila jeden wóz i ginie w odmęcie ulicy. Zaledwie zdążyłam okryć kolana pledem i nałożyć okulary (cały świat w zielonym sosie), ruszyliśmy. Zrazu w tempie bardzo miejskim, tembardziej, że co krok spotykamy jakieś zatory. W Alejach Jerozolimskich rozwijamy większą szybkość. Kocie łby na Grójeckiej łomocą w nasze serca, jak wyrzut sumienia. Ostatnie brudne domki podmiejskie zostały za nami. Wiatr odgarnął na bok płachtę kurzu. Pachnie jesienny poranek: ziemia zorana, kwitnąca seradela, nać kartofli. Długie, przejrzyste włókna pierzastych obłoków snują się po błękitnym niebie, jak przedza babiego lata.

Grójec. Na skrętach wszędzie tłumy ciekawych. Na ich tle, szafirowy drogowskaz: nieruchomy policjant z lewą ręką, wyciągniętą w kierunku jazdy. I to się powtarza wszędzie, w najmniejszej wiosce, na każdym skřęcie, lub rozwidleniu szos. Czasem otoczony zwartą ciżbą, czasem samotny, jak słup wiorstowy; zawsze wyprostowany, ciemny i milczący w potokach słońca, jak szafir, oprawny w złotawą obręczkę szosy.

A ona toczy się przed nami, nie kończąc się nigdy, — czarodziejski pierścienek, opasujący ziemię. Napróżno staramy się ją przegonić. Gdzieniedzie odrywa się od niej biały trójkątny welon kurzu i mknie naprzód, uciekając, gdy się do niego zbliżamy. To inne auto z naszego raidu. Czasem w mlecznych tumanach wytoczy się nawprost nas ciężkie, chybotliwe cielsko podmiejskiego autobusu, parskając na nas piachem. Dzień jest świąteczny, więc im bliżej południa, tem więcej na szosie chłopskich furmanek, drobnym truchcikiem zdążających na sumę do kościoła. Jakies dwie godziny jedziemy w pyle gęstym, jak mleko. To może jedyna przykra strona raidu, bo zresztą stan szos, z małymi wyjątkami, wszędzie dobry.

Pilica. Pierwsza większa rzeka. Szeroko uśmiechnięta błękitnym pogodnym okiem, mrugającym zalotnie z pod puszystych rzęs zielonej łąki. I znowu szosa wśród rżysk i kartofliska. Garbate sosny obsiadły drogę: niedobitki dawnego, już nieistniejącego lasu. W słonecznej pustce na murowanym cokole samotna

Pietà, Matka Bolesna żali się ostatnim skowronkom nad ciałem Syna.

Radom. Miasto porządne, bez specjalnego wyrazu. Mijamy ładny park. Za miastem zaczynają się lekkie falistości, zapowiedź bliskich gór Świętokrzyskich. W jakimś miejscu wpadamy w stary, gęsty las. Długo, długo migają obok nas czerwone pnie i wyciągają się łapczywe pazury gałęzi. Za lasem inny świat. Nad małą, tulącą się w zielonej kotlinie wioszczką piętrzy się stroma góra; na niej czerwone bazyliki podpierają wypukłą banię nieba. Wszystko: wioska, ludzie na zakręcie, zielone urwisko, ruiny w błękitach—zjawia się nam raptownie i na jednym planie, bez żadnej perspektywy, jak prymitywny obraz. I razem z nim wspomnienie prymitywnej, dziecinnej lektury. W jakiejś książce był taki obrazek, bodaj że Andriollego. Aha! to były „Branki w jassyrze” Deotyry, a ten zamek — to Iłża. Starzy, dobrzy znajomi. Szkoda, że niema czasu im się przyjrzeć, bo nowy skręt drogi zmazuje śliczne zjawisko, jak odręczny rysunek na szyfrowej tabliczce nieba.

Za Iłżą w szczerem polu robimy krótki postój dla rozprostowania kości i sprawdzenia.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY

„Kochanek pani Vidal”. komedia w 3-ech aktach Ludwika Verneuil'a, adaptacja Jana Adolfa Hertza. Reżyserja Aleksandra Węgielki. Dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Nie zaginął i nie zaginie chyba do końca świata ród uroczych warjatek, tych rozkosznie niepoczytalnych stworzonek, które z baniek mydlanych swej wyobraźni budują tęczowe pałace, trwałości zaprawde motylej. Konstrukcyjne i destrukcyjne instynkty tych prymitywnych istot mogą iść w zawody zarówno z najgenialniejszymi fantastami ludzkości, jak z najniebezpieczniejszymi burzycielami porządku społecznego. Kobieta, obdarzona wyobraźnią pani Vidal, mówiąc poprostu: „narwana baba”—może w przeciągu pięciu minut zrobić z karła tytana, przyprawić mężowi rogi, zapomnieć o kochanku, powtórnie pokochać męża i zachować przy tem wszystkim nietylko pogodę ducha i pewność siebie, graniczącą z bezczelnością, ale nawet i... spokój sumienia.

I przyznać trzeba, ku chwale rodu męskiego, że ta właśnie niepoczytalna i nieodpowiedzialna, do absurdu doprowadzona kobiecość cieszy się u panów stworzenia największem uznaniem. Rozkoszne kapryśnice, przewracające co chwila do góry nogami jeżeli nie cały świat, to dom własny w imię urojenia, są najwierniej kochane, najczulej pieszczone, do szaleństwa psute przez mężów i kochanków, którzy są za-



„Kochanek pani Vidal” — Kamińska, Macherska

zwyczaj ich bezbronnemi ofiarami. Widać, chaos, szaleństwo, nieobliczalność, niepewność dnia ani godziny, która sprowadzić może katastrofę, ujarzmia i terroryzuje mężczyznę, stworzonego podobno do poligamji, i zaspokaja tkwiące w nim podświadomie pragnienie ustawicznej zmiany ciągłemi niespodziankami, wśród których wiekiista kobiecość objawia się w formie wciąż nowej i nieoczekiwanej. Tem tylko da się wytłumaczyć fakt, że panią Vidal nie zamknięto do czubków, że chodzi ona luzem po świecie, nie ciesząc się nawet tak zalecaną obecnie opieką „poza zakładową”.

Na czem polega ów „bzik pani Vidal”, prowadzący uroczą kobietkę na skraj przepaści? Oto poprostu rozkoszna osobka na mocy fałszywie, a błyskawicznie przeprowadzonej analogji ubrdała sobie, że jej mąż, podstarzały groszorb, zapatrzony w żonę, jak wół w aptekę, zdradza ją na każdym kroku. Podejrzanie zmienia się w pewność, z pewności urasta pragnienie zemsty i decyzja, za decyzją idzie czyn. Trzeba ukarać zbrodniarza. Ale jak? Najprostsza droga: oko za oko, ząb za ząb. Ale pani Vidal ceni swą godność. Nie zdradzi męża, ale będzie postępować

tak, żeby i on i całe otoczenie było przekonane o zdradzie.

W tym celu wynajmuje za słone pieniądze głup-takowatego dryblasa, którego obowiązkiem jest od-grywać wobec świata rolę „kochanka pani Vidal”. Drab wywiązuje się z zadania w sposób tak ordynar-ny, że nawet stary lokaj pani Vidal („my, służba przed-wojenna”) jest zgorzony bezczelnością mniemanych kochanków. Ale pani Vidal zuchwale wyzywa opinię. Igra z ogniem z nieopatrnością dziecka, które musi sobie poparzyć paluszki, aby uwierzyć, że piecze. Ry-zykowna kobietka wikła się we własnoręcznie za-dziergnięte sidła, w sidła sprowokowanego Amora. I tutaj autor nadzwyczaj subtelnie podkreśla znamien-ny rys kobiecości w pani Vidal. Dopóki była niewin-ną, afiszowała się najbezczelniej ze swym pseudo-ko-chankiem. Kiedy miłość przestała być komedią, ko-bieta boi się własnego cienia. Chodzi jej o to, żeby „nikt się nie domyślił”, żeby ta cudowna bajka mo-gła trwać.

I tu następuje tragiczne niemal załamanie. Po-wraca mąż i udowadnia swoją niewinność.

— Poco ja go zdradziłam! — woła w rozpacz-y pani Vidal. I odruchem skrzywdzonego dziecka tuli się do męża z bezradnym płaczem. — Ja już nie je-stem ta sama!

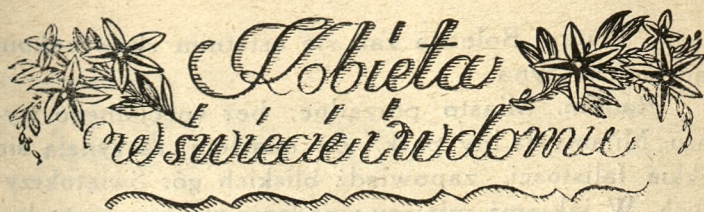
Biedactwo ludzi się nawet i w tym wypadku! Chorobliwa wyobraźnia, która kazała jej w wynaję-tym drągalu upatrywać bohatera, przenosi w krytycz-nym momencie aureolę heroizmu na głowę męża. Ro-mansowy epizod wymazany z pamięci i z serca. Znow „tabula rasa”, na której można pisać hieroglify uro-jeń. W ich komponowaniu pani Vidal pozostanie równie szczerą, jak nieobliczalną.

Ten ostatni moment „ocalenia honoru” pani Vi-dal jest mocno naciągnięty. Tonący autor chwyta się brzytwy nonsensu i kaleczy sobie niemiłosiernie palce, ale akcji nie ratuje.

Ratowała ją mistrzowska gra pani Mili Kamiń-skiej, która umiała zasugerować publiczności urok warjactwa. Nie dziwimy się zgoła, że tę przemiłą cza-rownicę wszyscy kochają. Natomiast Maszyński prze-jaskrawił nieco figurę Marcelin’a. Przecież nietylko zaślepiona pani Vidal, ale normalne jej otoczenie przy-znaje, że ma on piękne oczy, że jest interesujący itd., jednym słowem, ma „warunki” na amanta. Tymcza-sem na scenie widzimy ciągle wypiętą komicznie ka-rykaturę, która raz tylko, w momencie namiętności, staje się żywym człowiekiem.

Fritsche, jako stary służący, był figurą pierwszo-rzędną. Debiut Macherskiej w „prawdziwym teatrze” należy uważać za udany. Całość wyreżyserowana bez zarzutu.

S. P. O.



Z POWODU PIĘTNASTOLECIA KLUBU WIOŚLAREK

W dn. 16 b. m. Warszawski Klub Wioślarek obchodził uro-czyście pod protektoratem Pani Prezydentowej Mościckiej XV-to-lecie założenia Klubu.

Jeszcze w r. 1911 Helena Prawdzic-Kuczalska, Zofja Olendz-ka i Szanterówna, z inicjatorką Stanisławą Hannówną na czele, podjęły zadanie zorganizowania i powołania do życia Klubu Ko-biecego, którego dążeniem i celem stałby się rozwój życia sporto-wego, a tem samem — wyrobienie tężyzny wśród kobiet, a zarazem sku-pienie zdrowych sił kobiecych w jedno społeczne ognisko.

Pomimo wielkich trudności natury finansowej, oraz prze-szkód ze strony władz rosyjskich, które na każdym kroku gnębiły wszelkie zrzeszenia, Warsz. Klub Wioślarek stał się odrazu jedną z ważniejszych placówek życia narodowego i społecznego polek w Warszawie. Klub Wioślarek, ogniskując w sobie wielkie zalety organizacyjne, był jednocześnie pierwszym zrzeszeniem sportowem kobiecym w Polsce i stał się zarodkiem kobiecego życia sporto-wego, które obecnie rozwija się z żywiołową siłą i potęgą.

Walcząc od początku swego istnienia z zaborcami rosyjski-mi o swą samoistność, Warszawski Klub Wioślarek jednocześnie zwalczać musiał w swem własnym społeczeństwie uprzedzenie do sportu i zjednywać je powoli do nowej dla niego idei.

Powoli i stopniowo zwiększał się tabor i ilość wioślarek, coraz więcej flag biało-niebieskich trzepotało się na Wiśle, i Klub zaczął już wchodzić na tory pomyślnego rozwoju, gdy wybuchła wojna i władze rosyjskie z całą bezwzględnością zarekwirowały zadłużoną jeszcze pierwszą przystań Wioślarek. Dzielne Wioślark-i, z prezeską dr. Budzyńską-Tylicką na czele, zahartowane w walce, nie ustąpiły, a walcząc z władzami rosyjskimi bez przer-wy o swe prawa do przystani i taboru — skierowały jednocze-snie swe prace w kierunku nietylko sportowym, ale i społecznym.

Powstaje ognisko dla inteligencji im. Wioślarek, kursy dla analfabetów; część członkiń bierze czynny udział w Polskim Ko-mitecie Sanitarnym, oraz w pracy w innych instytucjach spo-łecznych.

W czasie okupacji niemieckiej znow rozpoczynają starania o zwrot zajętej przez wojska niemieckie przystani i wkońcu wy-walczają ją sobie, by nanowo rozpocząć pracę sportową.

Zdawało się, że Klub Wioślarek, po przejściu istotnej pró-by ogniowej w okresie wojny i okupacji, z zastępem, zwiększonym do 230 członkiń, świadomy swych dążeń, śpieszyć będzie do osią-gnięcia celu: stworzenia typu silnej i dzielnej kobiety. Los jednak zrządził inaczej, i nawałnica bolszewicka znow oderwała wioślarki od łodzi i wiosła, powołując je do pracy społecznej. Powstaje czołówka sanitarna z p. Hannówną na czele, przebywającą długie miesiące na froncie. Następnie wioślarki tworzą własny pociąg sanitarny i pracują w czasie bitwy pod Wyszkowem, podczas ofensywy na Ciechanów, Konopki, Mławę i Działdowo. W Lidzie, w walce z epidemją tyfusu, kilka wioślarek zapada na tę cho-robę. W 1921 roku następuje rozwiązanie oddziału.

Dopiero gdy ucichła zawierucha wojenna, w wolnej już Polsce, Klub Wioślarek mógł rozwinąć systematyczną pracę spor-tową. Ostatnie cztery lata istnienia Klubu, z dr. Zabawską-Domo-sławską na czele, stanowią jeden wielki i nieustający wysiłek w pracach zarówno organizacyjnych, jak gospodarczych i spor-towych.

Pod względem organizacyjnym Warszawski Klub Wioślarek staje się oficjalnym rzecznikiem wioślarkstwa kobiecego w Polskim



Związku Towarzystw Wioślarskich, reprezentując jego potrzeby w drodze opracowania specjalnych paragrafów do statutu i regulaminów wioślarskich, przeprowadzając najważniejsze postulaty wioślarstwa kobiecego, dążąc do unormowania warunków technicznych regat i treningów.

W dziedzinie gospodarczej, dzięki poparciu rządu i miasta, Warszawski Klub Wioślarek otrzymuje stały teren nad Wisłą, buduje wzorową szatnię na łądzie, hangar na łodzi, zakłada dźwig do podnoszenia łodzi, buduje doskonałą pływalnię, wydatnie zwiększa tabor wioślarski i racjonalnie urządza teren klubowy.

Pod względem sportowym uprawiane jest pod kierunkiem sił wykwalifikowanych wioślarstwo regatowe i turystyczne, pływanie, gry ruchowe oraz gimnastyka. Wyniki regatowe osad Warszawskiego Klubu Wioślarek są ogólnie znane. Od szeregu lat zajmuje Klub przodujące miejsce w wioślarstwie kobiecym w Polsce. Może się poszczycić najpiękniejszym wynikiem, osiągniętym na regatach międzynarodowych w Bydgoszczy w 1927 roku, gdzie dzięki swemu zwycięstwu, przy silnej konkurencji, zdobył puchar Marszałka Piłsudskiego, zatrzymując go dla Polski.

Turystyka wodna przynosi nadal najpoważniejsze w wioślarstwie kobiecym rezultaty cyfrowe przejechanych c-a 30.000 klm. rocznie.

Pływaństwo uprawiane jest na coraz większą skalę. Zawodniczkę startują w różnych konkurencjach, oraz w zawodach długodystansowych (10 klm).

Opieka lekarska w Klubie jest racjonalnie prowadzona: każda uczestniczka podlega obowiązkowym badaniom.

By udostępnić szerszemu ogółowi uprawianie tego pięknego, zdrowego i odpowiedniego dla organizmu kobiecego sportu, Warsz. Klub Wioślarek daje możliwość korzystania z pływalni i urządzeń sportowych słuchaczkom Państwowego Instytutu Wychowania Fizycznego, oraz uczennicom szkół średnich.

PÓŁKOLONJE LETNIE W WARSZAWIE

Warszawa — miasto wielu ulic, a niewielu ogrodów, miasto hałaśliwe, pełne kominów fabrycznych, sklepów, warsztatów, ciasnych mieszkań i ciemnych suterren, miasto, w którym brak w lecie powietrza dla płuc, a zieleni dla oka — ma bardzo dużo dzieci. Dzieci biednych, których rodzice nie mogą wysłać na wakacje na wieś. Dzieci tych jest kilkadziesiąt tysięcy, a z pośród nich, jak wykazały ankiety, 50% nie było nigdy w lesie, a wieś zna z opowiadań, 20% tylko rzadko wyjeżdżało na zamiejskie wycieczki.

Dzięki wysiłkom ludzi uspołecznionych, staraniom o wychowanie zdrowego młodego pokolenia wydają już jednak pewne rezultaty. Kolonie letnie i obozy wychowania fizycznego zabierają z roku na rok coraz większą liczbę młodzieży. Dla dzieci, młodszymi zwłaszcza, których nie można było wysłać na wieś, tworzą się półkolonie.

W tym roku półkolonie w Warszawie roztoczyły opiekę nad kilkunastu tysiącami dzieci. Zabrały je z ulic i podwórzy, z izb zamkniętych. Na placach, boiskach, w ogrodach, na plaży wiślanej, na wycieczkach zamiejskich — gromady dzieciarni zażywały świeżego powietrza, gimnastyki, kąpeli. Pod kierunkiem fachowych sił wychowawczych prowadzone były gry, śpiewy i zabawy ruchowe. Zastosowano organizację, zbliżoną do harcerskiej. Dzieci otrzymywały również posiłek: mleko i bułki. Pobyty na półkolonjach trwały 3—7 godzin dziennie, poczem dzieci wracały do domu.

System półkolonijny wykazał wiele zalet dla fizycznego i moralnego rozwoju dziatwy. Słabą stroną organizacji w Warszawie stanowił jednak fakt, iż nie zjednoczono akcji, lecz prowadziło ją na swą rękę wiele różnych instytucji: Wydział Opieki Społecznej Magistratu, Liga Szkolna Przeciwgruźlicza, Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, Związek Strzelecki i Związki Nauczycielstwa Przedszkoli i Szkół Powszechnych, Towarzystwo „Osiedle” dla dzieci z baraków, dla bezdomnych i domów miejskich.



Uroczystość zamknięcia półkolonij letnich na Dynasach

Rozbicie to niewątpliwie nie przyczyniło się ani do usystematyzowania rezultatów akcji, ani do lepszego wyzyskania funduszy, zebranych od społeczeństwa oraz z subwencji miejskich.

Prócz półkolonij „rozrywkowych” prowadzone były także półkolonie zdrowotne z kąpielami solankowymi i obfitym dożywianiem dziatwy, oraz półkolonie wyjazdowe, z codziennymi wycieczkami do okolic podmiejskich.

Z końcem sierpnia odbyły się uroczystości zamknięcia półkolonij i popisy dziatwy. Najbardziej udane odbyły się na placu Teatralnym i na Dynasach, gdzie wobec licznej publiczności i przedstawicieli władz dziatwa przedstawiła barwne obrazki swych zabaw, gimnastyki i tańców i odbyła defiladę z chorągiewkami i kwiatami.

J. K.

SPÓŁDZIELCZE KURSY KORESPONDENCYJNE

Dwa lata istnienia Spółdzielczych Kursów Korespondencyjnych dowiodły, iż forma doksztalcania się zawodowego zapomocą Kursów Korespondencyjnych jest w naszych warunkach jedynie dostępną, a przede wszystkim dogodną formą nauczania.

Szkoła korespondencyjna nie krępuje uczestnika, ani co do czasu, ani co do miejsca, gdyż polega na tem, że uczestnik otrzymuje wykłady w odbitce maszynowej; wykład ten służy do wyjaśnienia materiału, zawartego w podręczniku, lub uzupełnia go. Wyznaczone ćwiczenia oraz zadania, które uczestnik musi przerobić i przesłać wykładowcy, dają możliwość przekonania się o tem, czy dany materiał został dobrze zrozumiany i przerobiony; wraz z tego rozwiązania zadań, uczestnik obowiązany jest ponownie je przerobić. Szkoła korespondencyjna wytrwałym, chętnym i pracowitym ludziom może całkowicie zastąpić szkołę ustną.

Dzięki swej formie nauczania, a przede wszystkim dzięki rozumieniu potrzeby kształcenia się i doksztalcania zawodowego, Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne rozwijają się doskonale; służą przytem wyśmienicie dobru jednostek, z nich korzystających, i dobru sprawy społecznej — spółdzielczości.

Przez dwa tegoroczne Zjazdy spółdzielcze: XVI-tv Zjazd Pełnomocników Związku Spółdzielni Spożywców Rzplitej¹ Polskiej i X-ty Zjazd Pracowników Spółdzielczych — zostały jednomyślnie powzięte uchwały, zmierzające do stabilizacji kwalifikacyj pracowników spółdzielczych. Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne uznano, jako pierwszy szczebel w naszym szkolnictwie spółdzielczym; następny — to krótkoterminowe kursy ustne, repetycje i egzamina. W ten więc sposób został całkowicie ustalony system doksztalcania zawodowego pracowników już zatrudnionych. Rezolucje wspomnianych Zjazdów podkreśliły jednocześnie konieczność szybkiego załatwienia tych spraw. To też spodziewać się należy w roku szkolnym 1928-29 masowego zgłaszania się na kursy, tembardziej, iż nauka na Spółdzielczych Kursach Korespondencyjnych została udostępniona pracownikom spółdzielczym, zatrudnionym w spółdzielniach, należących do Związku, przez przyjęcie na siebie ze strony spółdzielni obowiązku ponoszenia kosztów nauki.

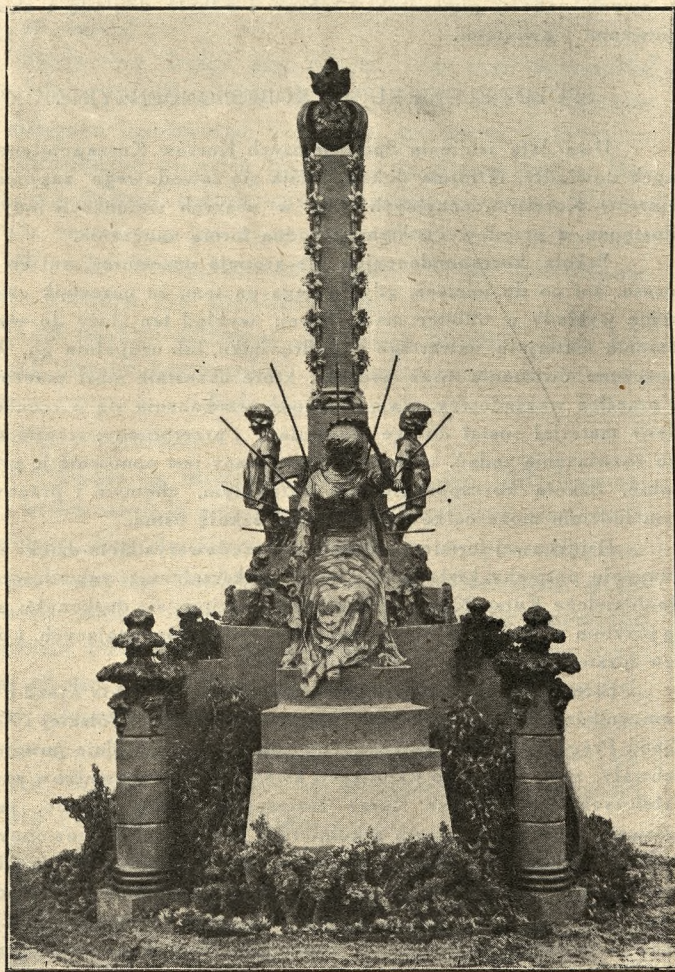
W rozpoczynającym się roku szkolnym Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne wprowadzają podział programu na grupy: grupa dla pracowników sklepowych i magazynowych, grupa dla buchalterów i pracowników biurowych i grupa dla kierowników spółdzielni. Osoby, życzące otrzymać świadectwo kwalifikacyjne, obowiązywać będzie całkowicie program danej grupy. Program Kursów obejmuje zagadnienia zarówno z teorii, jak i praktyki spółdzielczości.

Zapisy przyjmuje i wszelkich informacji udziela Sekretariat Kursów (Warszawa, ul. Grażyny 13, skrz. poczt. 38). Rok szkolny 1928-29 rozpoczyna się dnia 1 października.

PROJEKT POMNIKA „U ŹRÓDŁA CNÓT”
 DŁUTA ART. RZEŹBIARZA AKEKSANDRA BORAWSKIEGO

Projektowany pomnik ma za zadanie przypomnieć ogółowi imiona tych Polek, które nietylko w ojczyźnie, lecz i na obczyźnie—na emigracji dobrowolnej lub musowej—na wygnaniu, w najokrutniejszych, najniewdzięczniejszych warunkach okresu niewoli—wielkością swego umysłu i serca kierowane, kołły bóle, wlewały otuchę, wszczepiały najjaśniejsze zasady.

Pomnik, nazwany „Źródłem cnót”, ma budzić chęć do zapoznania się z wartością tych oto dostojnych Polek, których imiona będą w nim wykute i wyłoczone, a opisane w specjalnych wydaw-



„Źródło cnót” — pomnik zaprojektowany przez Aleksandra Borawskiego ku uczczeniu najdostojniejszych Polek z okresu niewoli, na którym mają być wyryte ich nazwiska. Pomnik stanąłby w parku Ujazdowskim—miejscu zabaw dziecięcych.

nictwach, ozdobionych portretami i okolicznościowymi ilustracjami, zaczerpniętymi z dzieł artystów, którzy, w dbałości o potomnych, uwiecznili życie kobiety w różnych momentach dziejów narodowych

W pomniku, gdzie kolumnę z liljami kończy serce, rozplamione miłością patriotyczną, kobieta z pochodnią rozświetla drogę do niej—do niej, jako symbolu cnót; po przeciwległej stronie umieszczony jest pelikan, karmiący pisklętą swoją własną krwią—to symbol macierzyńskiej ofiary; po bokach—dwoje dzieci, na które ma spadać kaskada wód, płynąca z lilij, będących ozdobą kolumny.

Pomnik zaprojektował Aleksander Borawski w przewidywaniu, że powinienby on stanąć w parku Ujazdowskim.

BUDZI SIĘ RUCH SPORTOWY WŚRÓD DZIEWCZĄT
 WIEJSKICH

Na uroczystości Dożynek u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w Spale zwracał uwagę bardzo liczny udział kobiet wiejskich. Przynajmniej połowa uczestników — były to wieśniaczki.

Objaw masowego uczestnictwa chłopek w Dożynkach spalskich przypisać należy nietylko względem zewnętrznym: okazji do zabawy i pokazania się światu we wspaniałych częstokroć strojach ludowych: — kobiety wiejskie niewątpliwie mają już u nas dość rozbudzoną świadomość obywatelską i patriotyzm, organizując się ku poczuciu państwowości; chęć też być wszędzie tam, gdzie ich prawa obywatelskie być im pozwalają.

Niesłychanie sympatycznie przedstawiło się na Dożynkach młode pokolenie dziewcząt wiejskich — sportsmenek. Są to, oczywiście, pierwsze jaskółki. Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej wywiera duży wpływ na organizowanie dziewcząt w sekcjach sportowych swych Kół, i już około 2.000 młodych wieśniaczek uprawia sporty, głównie lekką atletykę.

W zawodach na stadionie w Spale wystąpiło 50 dziewcząt. W gustownych kostjumach zielonkawego koloru z żółtymi ozdobami, w krótkich fałdzistych spódniczkach—prezentowały się bardzo dobrze.

Wzięły udział w jednej tylko konkurencji: t. zw. dwuboju żeńskim, obejmującym bieg 60 mtr. i skok wdal. Pierwsze miejsce zdobyła Halina Kołodczenko z województwa białostockiego, osiągając w biegu 60 mtr. dobry czas — 9 sek., a w skoku wdal — 4 metry.

Drugą z kolei zawodniczką zwycięską była Helena Kazurówna, trzecią — Wanda Kuczyńska. Rekordzistka, drobna i niepozorna, kilkunastoletnia zaledwie Halina Kołodczenko, otrzymała nagrodę p. Prezydenta Rzeczypospolitej, który z dobrotliwym uśmiechem wręczył jej „mały puchar” podczas zakończenia zawodów.

Po tak obiecującym wstępie można się spodziewać, że propaganda sportu wśród dziewcząt wiejskich wzmoże się i że na przyszłorocznych Dożynkach sportsmenki w kostjumach barwy siana i dojrzewającego zboża wystąpią liczniej i z bagatszym programem zawodów. j. k.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelniczkom, zainteresowanym w sprawie wyboru zawodu, komunikujemy, że biuro porady zawodowej przy Polskiem Towarzystwie Eugenicznem od dn. 15 września przeniesione zostaje na Nowy-Swiat Nr. 1. Czynne od 2—4. Przy Patronacie nad Młodzieżą Rzemieślniczą (Mokotowska 51 - 53) znajduje się również pracownia psychotechniczna, mogąca okazać dużą pomoc w należytem kwalifikowaniu uzdolnień.

POWRÓT DO GNIAZD

Jakże niedawno słowa, przeznaczone do druku na łamach naszego pisma, promieniowały skoncentrowanym blaskiem wschodzącego słońca letnich wywczasów! Ileż mieściło się w nich promiennych nadziei, ile radości i uśmiechów! Miały one w sobie wonny poszum wiatrów górskich, szmer błękitnej fali, nawiwną nutę piosenek żniwiarzy, zapach świerczyny, skoszonego siana, mięty, tulącej swe listki do pokrytych trawą wybrzeży strumienia, upojną woń rozkwitłych lip, brzęk sytych pszczół i koloryt rumieniących się w słońcu soczystych, słodkich owoców!.

Dzisiaj—wszystko już jest poza nami! Na szlakach polnej miedzy, górskiej ścieżyny, na złocistej plaży gościć zaczyna cisza i pustka; życie przelewa się wzmożonym tempem przez arterje miast; życie przywołuje do rzeczywistości, zamyka złoty nawias, a rozkoszne „wczoraj“, pełne pulsującej, dobrej treści, zamienia w szkatułkę wspomnień, co wystarczyć znów muszą na długie miesiące znoju.

Jakże niewielka ilość wśród tego zastępu wracających umie zamknąć rozumnie rozdział, czytany z zapałem na słonecznych stronach życiowej księgi! Jakże niewielka ich częśćka zdoła uchronić dorobek letnich miesięcy przed zagładą, która czai się w goryczy westchnień, żalu i melancholji bezsilnego rozpamiętywania tego, co minęło bezpowrotnie! Zamiast cieszyć się zapasem zdobytych sił i zdrowia, zamiast wykorzystać je radośnie, większość roztrwoni zdobyty skarb, zmieniając go nieopatrzną dłonią na drobną monetę zniechęcenia i żalu. Prawda, że z poza drzwi, które otworzą się przed nami z charakterystycznym zgrzytem zatrasków i opadających łańcuchów, wychyli się oblicze, pozbawione wszystkich promiennych cech, jakie wypełniały słoneczne, zbliżone do natury „wczoraj“; wyjrzy „jutro“ ze wszystkimi obowiązkami i ciężarami życia, wyjrzy szarzyzna dnia codziennego obliczem, pooranem głębokimi bruzdami trosk i kłopotów.

Jednostka, ujmująca życie z racjonalnego punktu widzenia, bezstronna i rozumna, wie, że składać się ono musi nietylko z wywczasów i uśmiechów. Przeciwnie: zasadniczą jego treścią są te właśnie zastępy dni codziennych, przeznaczone do pracy i trudów. Uśmiech—to klejnot, którego nie nosi się na codzien, a przechowuje w wysłanym aksamitem puderku, pieszcząc zaledwie od czasu do czasu wzrok promienną jasnością jego blasku. Ten właśnie uśmiech dał nam los dla odprężenia zmęczonych, naciągniętych nerwów. Rolą jego jest zebranie takiego zapasu światłości, aby opromieniła to, co przyjdzie później, to, co tak niesłusznie, a tak ryczałtowo nazywamy szarzyzną — szlak dni codziennych.

Motto gawęd, jakie obijają się echem o góry i lasy pod koniec okresu letnich wywczasów, jest prawie zawsze jednakże: wyrzekanie na konieczny po-

wrót do tej „przeklętej szarzyzny życia!“ Niezmienne, uparte roztrząsanie tej bolączki, zawsze z jednego i tego samego punktu widzenia, wkracza wprost w rodzaj manji, a kryzys zaznacza się stale i bodaj że zaostrza z roku na rok. Potrzeba jednak tylko trochę dobrej woli, polegającej na bezstronnem rozsegregowaniu pojęć, aby dojść do wniosków, wprowadzających całą tę żywotną sprawę na zgoła inne tory. Zrozumienie i lojalne uznanie, że treść życia polega na tym szeregu dni i miesięcy, złożonych w koniecznej daninie obowiązkowi, którego sumienne wykonanie prowadzi nas właśnie ku zasłużeniu sobie na chwilę miłego wytchnienia. Co do „przeklętej szarzyzny“, to ośmielę się twierdzić, że każdy, kto na nią wyrzeka, nosi ją w sobie.

Jedni — w najpomysłniejszych nawet warunkach, osnuci są wieczną mgłą niezadowolenia, wahań i nie-domówień; błędzą stale wśród jakichś mgieł, zaciemniających horyzonty życia; inni — przeciwnie, z najtrudniejszej doli umieją jeszcze wykrzesać uśmiech. W dużej mierze takie, czy inne ustosunkowanie się do życia zależnem jest od stanu zdrowia. Jednostka silna, doskonale rozwinięta, opanowana nerwowo, rzadko kiedy rozgorycza się i opuszcza ręce w przygnębiającem zniechęceniu. Jednak władanie sobą, nie-poddawanie się prądowi, a przeciwnie: zdrowa walka z niedoborami usposobienia i ustosunkowania się do przejawów życia — mogą tu dokonać cudów. Stanać na racjonalnym punkcie i z tego racjonalnego punktu iść do walki z życiem — to największy i najcenniejszy przejaw zmysłu samozachowawczego. Wykorzystanie każdego, najmniejszego dorobku, przystosowanie go do życia, przerobienie każdej odrobiny zebranego w wędrówce doczesnej pyłku na kroplę miodu — może stać się źródłem niewyczerpanych wprost skarbów cielesnych i duchowych.

Okres letnich wywczasów — to właśnie ten lot w słońcu, mający na celu zebranie jak największej ilości pyłku kwiatowego, który w czasie długich nadchodzących miesięcy przerabiać winnyśmy kropla po kropli na wonny, odżywczy miód, co osłodzi dolę naszą i naszych najbliższych.

Nie wątpię, że wiele pań uśmiechnie się pobłażliwie, wnikając w moje ustosunkowanie się do spędzenia urlopu; chcąc, bowiem, widzieć go wykorzystanym prawdziwie rozumnie i dobrze, pragnęłabym dla każdej z nich przed wyjazdem mniej gorączkowych trosk materialnych o najwspanialsze skompletowanie wyrafinowanych strojów, a więcej wczucia się w sposób spędzenia krótkiego odpoczynku, w dobór miejscowości, zapewniającej maximum przyjemnego i pożytecznego dla ciała i ducha spędzenia czasu; a po powrocie — więcej docenienia i przystosowania do życia przywiezionych ze sobą wszechstronnych dorobków, niż rozgoryczania się myślą o tem, że tyle długich miesięcy dzieli nas znów od dobrych chwil swobody i odpoczynku! Życie, nacechowane ciąglem wygrze-

waniem się na słonecznej plaży, miałoby bowiem niezaprzeczony dar zabicia w nas siły odczuwania rozkoszy, związanej z takim najśłodszym „dolce farniente”. Smak odpoczynku zależny jest ściśle od skali trudu, jakim się nań zapracowało; a odwrotnie — wydajność trudu wiąże się nierozzerwalną nicią z jak najumiejętniejszym wykorzystaniem tego właśnie odpoczynku.

Co powinny nam dać w dorobku tygodnie, spędzone poza nawiasem życia? W pierwszej linii — tężyźnię i zdrowie; wypoczynek cielesny, nerwowy i duchowy, i wślad za nim idące odczuwanie radości życia z nową zyciodajną siłą. Szereg nowych, miłych znajomości, chwile, spędzone w beztroskiej wesołości i swobodzie; zbliżenie do natury, zauważenie i zrozumienie, wczucie się w cały szereg cudownych wprost nastroi i przejawów, których podpatrzenie i zrozumienie, w gorączkowym życiu miejskim jest nie tylko trudne, ale wprost niemożliwe; a przez to właśnie zbliżenie się do przyrody — pogłębienie skali zainteresowań życiowych i niezaprzeczone uszlachetnienie, idące zawsze w parze z rozszerzeniem horyzontów umysłowych i duchowych. Nie zatrzymując się już nadal nad roztrząsaniem wielu nieporuszonych jeszcze dorobków dobrze spędzonych wywcześnie, sądzę, że i wyżej wspomniane wystarczą nawet najbardziej wymagającej jednostce do opromienienia nadchodzących miesięcy. Warunek jednak nieodzowny, aby wykorzystać przywiezione ze sobą skarby — to docenienie ich i zrozumienie. Albowiem każdemu, kto nie wpatrzy się mądrym i przenikliwym wzrokiem w bogactwo swoje, nie otworzy skrytki, w której układały się jedno po drugim przeżycia i wrażenia, nie przeliczy szczerzłoty monet, o jakie powiększył się skarbiec, z którego zapasów czerpać będzie, — grozi dola ograniczonego skąpca, który, nieświadom tego, co posiada, umiera z wycieńczenia i głodu.

Czy zatem słuszne jest zatrząskiwanie poza sobą drzwi domu w chwili wyjazdu z radością i ulgą, a otwieranie ich za powrotem z odcieniem niechęci i żalu? Czyż tak trudno nauczyć się cenić i kochać własny dom i własne życie, kształtując je podług pojęć i upodobań, stanowiących część naszego „ja”? Czyż rzeczywiście przerasta siły ludzkie zrozumienie, że odpoczywa się poto, aby pracować intensywniej, a nie pracuje tylko poto, aby sobie zarobić na bezczynność?!

Spróbujmy wejść w okres, jaki otwiera się przed nami, ujmując pod powyższym kątem widzenia sprawę słonecznego „wczoraj” i znojnego „jutro”, a tylko wtedy zdołamy wykorzystać owocnie cały zasób przywiezionych ze sobą sił i zrodzonego w okresie odpoczynkowym zapału.

W. D.



TARGI WSCHODNIE WE LWOWIE

I

Na ósme Targi Wschodnie we Lwowie zwoływał głośno i barwnie afisz z krakusem, robiony przez kobietę, Janinę Petry-Przybylską. W tym dorocznym pokazie naszego dorobku gospodarskiego i przemysłowego bujnym plonem zaznacza się praca kobiet, przynosząca już poważny dochód w bilansie naszego państwa.

Rzut oka na Targi: olbrzymi, kilkukilometrowy plac, zabudowany pawilonami. Dalej „Wolne Pole”, gdzie w ruch wprowadzone maszyny huczą, terkotają drgają z rozmachem sprawnie działających kół, trybów i hałaśliwych motorów. Dalej jeszcze, w specjalnym ogrodzeniu — Wystawa koni; za nią — Wystawa bydła, a w kąci, skromnie ukryta, ale jakże hałaśliwa, gdakająca, piejąca, gęgająca i gulgocąca — Wystawa drobiu i królików.

Na tysiąc pięciuset wystawców jest około 30 proc. wystawców zagranicznych. Naturalnie. Przecież Targi Lwowskie są „międzynarodowe” i o ile z jednej strony mają za zadanie propagandę polskiego eksportu, a przez to uzyskanie aktywnego bilansu handlowego, to z drugiej strony pragną ułatwić importowcom nawiązanie stosunków z kupcami. Cały prawie, z nielicznymi wyjątkami, przemysł maszynowy jest zagraniczny. Tak samo automobile, autobusy, zamiatacze ulic, traktory itd. Trudno!.. Za parę lat może na Targach Lwowskich „Wolne Pole” będzie gościło tylko wyroby polskie, zamówione przez zagranicę...

Z zagranicznych pawilonów największy jest austriacki. Są tu wyroby „Wiener Werkstätte”, t. j. wiedeńskiej sztuki stosowanej, doprawdy, wcale nie wyżej stojącej od naszej; są śliczne kombinacje (takie same już wytwarzają u nas); są wyroby trykotarskie, gustowne i niedrogie; są manekiny - lalki wielkości naturalnej do wystaw sklepowych; jest galanteria skórzana, artystyczne okładki do książek i t. p. Sekcja bułgarska wystawiła kilka okazów, koszul i chusteczek, zdobnych haftem bułgarskim. Drogie to i mało oryginalne; przypomina dobrze nam znane, wyszywane krzyżykowym ścięciem wprost na płótnie (bez kanwy), koszule podolskie i ukraińskie.

Sekcje, wschodnie, jak: palestyńska, egipska i grecka, świadczą o uzyskaniu nowych grup abonentów.

Zwiedzająca Targi delegacja Sowdepji zapowiedziała swój współdział na rok przysły. Gdy z naszymi wschodnimi sąsiadami ułożą się stosunki, wówczas dopiero „Targi Wschodnie” będą mogły stanowić bazę eksportową na Wschód, nie tylko dla Polski, lecz dla całego handlu europejskiego, i wówczas Lwów, ten „suchy port”, będzie mógł na „Targach

Wschodnich“ zbywać produkty własne i tranzytowe.

Tylko do tego trzeba się godnie przygotować...

* * *

Zacznijmy od rzucenia okiem tylko na pawilony. We włókienniczym poważnie rozsiadł się Żyrardów, eksponujący swoje płótna, pościel i... jedwabne pończoszki. Vis-à-vis — dywany perskie, przywiezione przez firmę budapeszteńską. Dalej — wytwórnie krakowskie ludowego przemysłu zakopiańskiego: pantofle, serdaki, kilimy, galanterja drzewna. Obok — futra — i znów ciągnie oczy i wprost przykuwa do siebie stoisko z makatami buczackimi. Są to naprawdę „grand seigneur’y“, karmazyny Targów. Przepiękne, złotolite, haftowane we wzory pasów słuckich, ciężkie od złota i srebra, kapiące purpurą, mieniące się turkusami, seledynem, mają w sobie poświatę księżyca i promienie słońca. Robione w kraju, w Buczaczu, przez naszych robotników, kształconych na miejscu — wywożone zagranicę, by tam rozślawić imię Polski i sprowadzić obcą walutę. Ale przeważnie niedostępne dla zwykłych śmiertelników... Trzeba więc oderwać wzrok, uciekać...

Idziemy dalej. Futra, skóry, wyprawione w kraju. Targ pomyślny — jak nas informują. Fortepiany wytwórni poznańskiej. Również dobre transakcje. Meble krajowe, piękne i solidne — znów kilimy.

Przebiegamy pięknie kilimami ozdobiony Pawilon Monopoli Państwowych (spirytus i wyroby tytoniowe), przepychamy się przez tłumy w następnych pawilonach; w zgrabnym pawilonie „Pacyków“ oglądamy wyroby z glinki porcelanowej w Województwie Stanisławowskim i zakupujemy rozmaite „farfurki“ na upominki z wyprawy naszej na „Targi“; poczem, pozostawiając sobie zwiedzenie Pawilonu Banku Małopolskiego, gdzie zgromadzone są skarby przemysłu ludowego i drobnego rękodziela, do następnego przedpołudnia, kiedy mniej jest zwiedzających — pijemy doskonałą kawę, podawaną i gotowaną przez panie ze „Straży Mogił Polskich Bohaterów“ (tak, dochód stąd idzie na utrzymanie cmentarza Obrońców Lwowa, tych niezapomnianych „Orląt“ naszych!), dajemy się ogłuszyć przez hałas i warkot maszyn i motorów, by wreszcie dobić do wystawy koni i bydła, drobiu i królików.

Bo nietylko w pięknej bieliźnie, w zabawkach, lalkach, sztucznych kwiatach, nietylko w kilimach, tkactwie i koronkarstwie przejawia się praca kobiety — ale także tu dźwiga ona jeden z filarów dobrobytu wewnętrznego i dzielnie dopomaga do wzmożenia eksportu.

Niech przemówią cyfry.

Janina Łada Walicka.



ESTETYKA WYSTAWY SKLEPOWEJ

Przełamanie szeregu płaszczyzną, linią pionową, czy ukośną, lub innym szeregiem, idącym po takiej linii, jest również pożądane pod warunkiem umiejętnego wkomponowania danej linii.

Układ wystawy, który do symetrii wprowadza pewne zmiany, albo tylko część obrazu pozostawia w symetrii, zachowuje jej zalety kompozycyjne i równowagę estetyczną, zyskując lekkość i wdzięk. Widzimy to z wystawy galanterji Braci Leworskich w Poznaniu wzorowo skomponowanej (rys. 6 — z dziełka Dr. Wł. Terleckiego: „Jak urządzać wystawy sklepowe“).

Równie doskonale wyniki otrzymać można przez zastosowanie symetrycznego układu do materiału o płynnych kształtach i zmiennej barwie. Taką nieskazitelną kompozycją odznacza się wystawa tkanin letnich, ułożona w kształcie wodotrysku, przez dekoratora Friedricha w Kolonji (rys. 7) z dziełka Dra Terleckiego, jak powyżej). Rozpęd linii i lekkość materiału odniosły tu zwycięstwo nad symetryczną oschłością. Gest artysty ożywił draperje i stał się wzorem, godnym naśladowania. Wszakże tyle wystaw tekstylnych tkwi jeszcze w tapicerskim konwenansie!



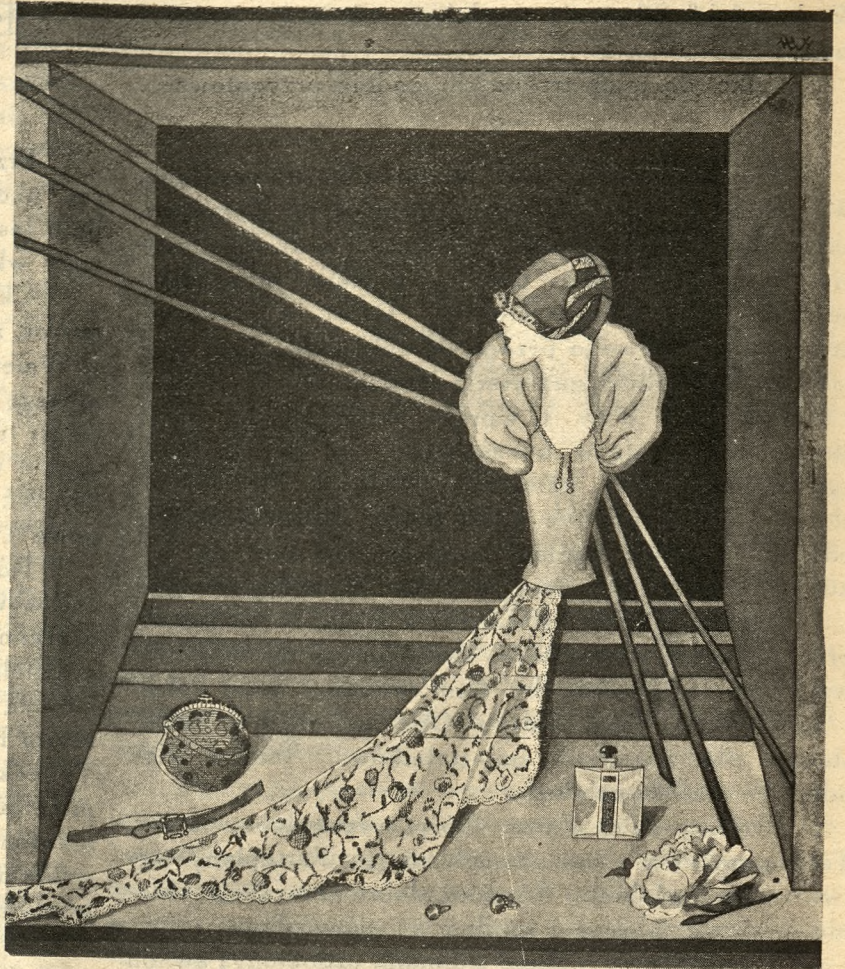
Rys. 6. Wystawa galanterji (Bracia Leworscy, Poznań).

Szlachetny system symetrii, zlagodzony wdziękiem, dała pewna kwiaciarnia na berlińskim Kurfürstendamm w swojej wystawie jesiennej 1927. W centrum wystawy umieszczono wysoki, strzelisty kosz z kwiatami (egzotyczne złotobronzowe storczyki), a pozanim, w głębi, poziomy szereg gigantycznych chryzantem, króciutko obciętych i ułożonych, jak puszyste poduszeczki na ciemnym tle.

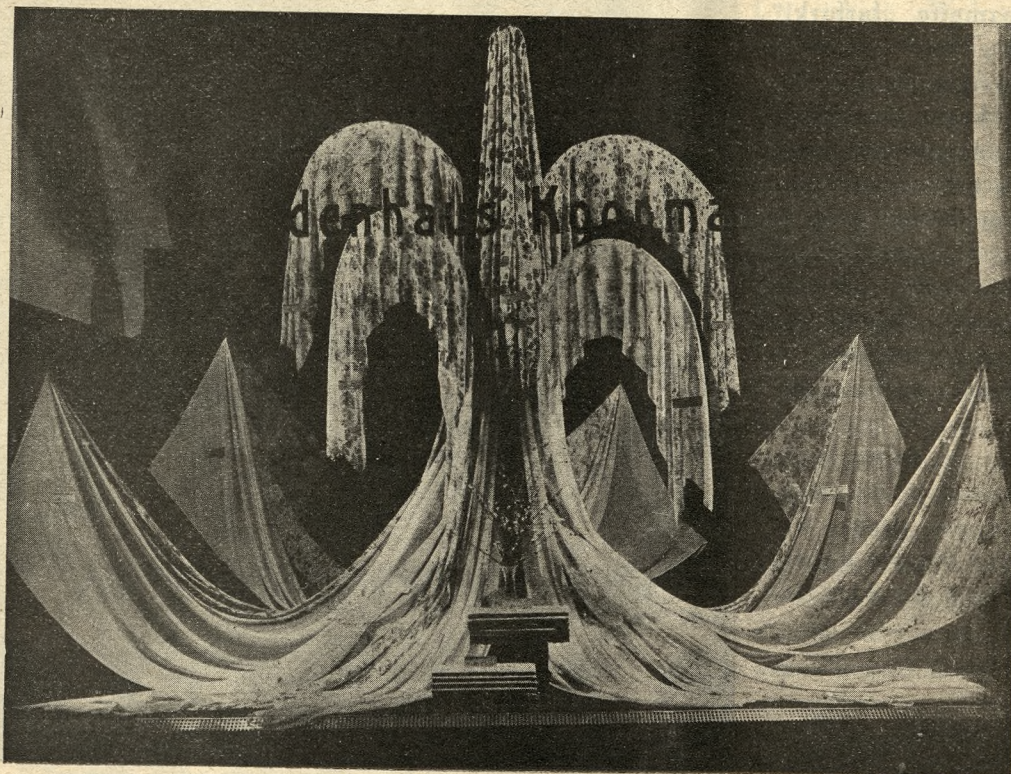
W Brukseli firma cukiernicza dała w swem oknie powtarzalny motyw barwnego pudełeczka z pralinkami w kilku rzędach. Wśród pudełek w pewnych odstępach bukieciki sztucznych kwiatów, zawsze takie same. Na dole wielka taca wspaniałych owoców kandyzowanych.

Druga zasadnicza forma układu, to swobodne grupowanie.

W tej dziedzinie niema określonych prawideł. Są tylko kryteria kompozycji dla właściwości stosunków — wielkości i odległości między przedmiotami, harmonji barw, rozmieszczenia grup i linii, kierunku kompozycji i kształtu okna. Tak, w wysokim oknie wąskim układ orientuje się do pionu, podczas gdy szerokość wystawy umożliwia rozłożenie towaru w przeciwnym kierunku. Przedmioty drobne umieszcza się blisko szyby, większe — w pewnej perspektywie. Swobodnie rozrzucone grupy dekora-



Rys. 8. Projekt wystawy modniarskiej, optycznie związanej linjami wstążek.



Rys. 7. Wystawa tkanin letnich (dekorator Friedrich, Kolonja).

tor może związać optycznie linjami równoległymi, czy też rozchodzącymi się promieniście z ogniska kompozycji (rys. 8). I tak dalej.

O wszystkim decyduje dekorator, w myśl wrażenia, jakie chce sugerować widzowi. Stąd wykształcenie, poczucie estetyczne i dobry smak dekoratora stają się warunkiem udanej wystawy. Zamiłowania i rozwój nowoczesnej dekoracji — szczególnie zagranicą — idą w kierunku wystawy, komponowanej swobodnie i bardzo powściągliwie. Minał czas barokowej wybujałości, kiedy właściciel sklepu chciał olśnić przechodnia, jeżeli nie przepychem, to obfitością i różnorodnością towaru. Dziś — pierwszorzędny magazyn ukazuje wyborowy towar dla wybranych: w artystycznej, a conajmniej wykwintnej opr-

wie, lecz w niewielkiej ilości. Wychodzi się tu ze słusznej zasady, że, im godniejszy widzenia eksponat, tembardziej powinien koncentrować na sobie uwagę swoim odosobnieniem i umiejętnym przedstawieniem. Panuje szacunek dla indywidualności towaru.

Więc, w oknach magazynu konfekcji damskiej: jedna suknia balowa; wachlarz i kwiat, torebka, biżuterja, akcesorja w tym samym tonie — nawet wspaniałe flakon perfum dobrano barwą; w innej witrynie — kapelusik, chusteczka, pasek, rękawiczki, albo szal, rozwieszony na artystycznym stelażu, i kilka drobiazgów. U modniarek, prócz nielicznych kapeluszy — szale, biżuterja, drobiazgi, kwiaty. I lalki, przesadnie smukłe lalki nowożytnie z charakterystycznymi twarzyczkami, czy zmodernizowane markizy w krynolinkach.

Na wystawie wyrobów skórzanych w Brukseli rozłożono pośrodku skórę krokodylową, ciemno-brązową z szarem; resztę wystawy zapełniają torebki pochettes z tej samej skóry w równoległych szeregach. Drugie okno — to białe - szaro - czarniawy wąż i także torebki. (d. c. n.) Helena Wolska.



TRAWNIKI W JESIENI

Zupełnie błędne jest mniemanie, że trawnik nieskoszony jest odporniejszy na mrozy. Błędne jest przypuszczenie, że długie źdźbła chronią kępki od wymarzania.

Raczej jest przeciwnie. Nieskoszone źdźbła pod naciskiem śniegu kładą się, gniją i zarażają zgnilizną same rośliny. Całe płaty trawnika wymierają i na wiosnę trzeba je nanowo obsiewać. Pozatem długie, zmartwiałe przez zimę źdźbła stanowią na wiosnę poważną przeszkodę przy pierwszym koszeniu. Kto zatem dba o piękny, aksamitny trawnik, powinien w końcu września lub w październiku polecieć go skosić. Wtedy przetrzyma się on dobrze do wiosny, naturalnie, o ile składa się z mieszanki traw zimotrwałych.

Błędem jest też pozostawianie na trawnikach liści, opadających z drzew i krzewów. Liście te również nie chronią trawnika od działania mrozu, lecz grzeją się pod śniegiem, i wiosną spostrzegamy, że trawa wyprzała. Nie stanowią one też zasilku, jak to niektórzy mniemają, bo nie zdążą się rozłożyć i zamienić na ziemię, a odcinając dostęp powietrza, duszą roślinki, na których leżą i wyrządzają tylko szkodę.

Więc trzeba w jesieni trawniki skosić. Ale to nie wystarczy. Gęsto stojące roślinki pochłaniają z ziemi

bardzo wiele pokarmu, a zakorzeniają się dość płytko. Przytem kępki trawy co rok wyżej się wznoszą, formując nowe korzenie ponad poziomem obumarłych w roku ubiegłym. Gdyby więc nie przyjść trawie z pomocą, to kępki obnażyłyby się i utworzyły drobne pagórki, jakie często spotykamy na zaniedbanych gazonach.

Zatem po ścięciu trawy trzeba trawnik zasilić. Najlepszym do tego celu materiałem jest dobry, tłusty, żyzny kompost, zawierający trochę gliny i trochę wapna. Jeżeli jest za tłusty, jak się to zdarza w okolicach o glebach zwięzłych, gliniastych, to można dodać do niego 1 część ziarnistego piasku na 5 części kompostu. Są to jednak wyjątkowe wypadki, kiedy takie dodatki stają się potrzebne. Na 100 m. kw. trawnika wypadnie wywieźć 5 taczek kompostu i rozgrabić go równo, a następnie lekko przywałować, lub uklepać drewnianą klepaczką.

Jeżeli nie mamy kompostu, a możemy dostać nawóz przetrawiony z inspektów, to można go również z pożytkiem zużytkować. Można nawet rozwieźć na trawniki wyskrobki z obory, pozostałe po wybraniu mierzwy.

Jeśli trawnik zarósł mchem, to trzeba mech zniszczyć, ponieważ jest on bardzo szkodliwy dla trawy. W tym celu rozsiewamy w jesieni, przed wywiezieniem kompostu, drobno zmielony kainit, w stosunku 5 kg. na 100 m. kw. trawnika. Działa on znacznie energiczniej, jeśli najprzód trawnik doskonale wygrabić ostremi, żelaznymi grabiami i wydrapanym mech usunąć. Po rozsianiu kainitu można rozłożyć kompost, jak to uprzednio było opisane.

W braku wskazanych nawozów organicznych, można zasilić trawnik również nawozami pomocniczymi. Nie przysporzą one wprawdzie próchnicy, nie okryją nowych korzonków, ale wzbogacą ziemię w składniki odżywcze. Więc po jesiennym skoszeniu rozsiewa się 2 kg. 40%-owych soli potasowych, albo 5 kg. kainitu (drobno zmielonego) i 4 kg. żuzli Thomasa na 100 m. kw. Nawozy te trzeba wysiewać każdy oddzielnie, albo zmieszać je bezpośrednio przed rozsianiem, bo gdy leżą zmieszane, powstają nierozpuszczalne związki chemiczne. Po rozsianiu zaleca się trawnik pograbieć, żeby nawozy zmieszać z ziemią, a następnie powierzchnię przywałować lub uklepać. Na wiosnę, w początku maja, trzeba na każde 100 m. kw. trawnika rozsiać dodatkowo 2 kg. saletry chilijskiej, lub 3 kg. siarczanu amonowego.

Wreszcie w okresie zimowym można na trawnik wylewać gnojówkę, mydliny od prania, rozsypywać popiół drzewny, baczac jednak, żeby się nie formowały kałuże zamarzające, ani kupki śmiecia, czy popiołu, pod którymi trawa wygniłaby, albo wyprzała. Popiół z węgla kamiennego nie ma żadnej wartości pokarmowej i tylko niepotrzebnie trawnik zaśmieca.

Stan. Schönfeld.

JAK PRZECHOWYWAĆ PRODUKTY

Nietylko na wsi kupuje się mięso w większej ilości co kilka dni — ale i w mieście, gdzie z nastaniem chłódów przez oszczędność czasu wskazane jest kupić większy kawałek od razu — dobrze jest wiedzieć, jak przechować go w świeżości dwa, do trzech dni. Jest na to kilka sposobów, z których najlepszymi dzieli się z czytelnikami: na 6 kilo mięsa wziąć łyżkę kwasu salicylowego w proszku, wetrzeć w mięso i powiesić w chłodnym, ale suchym miejscu. Można też rozpuścić kwas w wodzie, umaczać kawałek czystego płótna i owinąć niem mięso. Kwas ma tę właściwość, że chroni od zepsucia, nie wpływając bynajmniej na zmianę smaku. Można też owinąć mięso w tłusty papier i włożyć w koszyczek, wyłożony pokrzywami lub trawą. Tak samo nakryć grubo z wierzchu. Przechowując mięso na pieczeń (na rosół, befsztyk, kotlety będzie niezdatne), można je owinąć w czystą ściereczkę, umaczaną w occie. Mięso do przechowania nie może być płókanie, ani leżeć na lodzie — dopiero, biorąc do użytku, można je wymyć. Cielęciny i wątróbkę zalewa się słodkim mlekiem tak, aby je nakryło — trzyma w chłodzie, a biorąc do użytku, myje się i płóczy w kilku wodach. Drób, zwierzynę i drobne ptaki można w lecie, wypatroszywszy, przechować w pierzu lub skórce kilka dni; w zimie dwa — do trzech tygodni. Małe ptaszki można po oczyszczeniu z wnętrzości napełnić ziarnkami jałowcu.

Wogóle przechowanie mięsa wymaga wielkiej czystości; paki i lodownie, w których je się trzyma, trzeba myć czysto co kilka dni. Miejsce, w którym przechowujemy mięso, powinno być chłodne, ale zabezpieczone od mrozu, zarówno bowiem zepsute, jak i zmarnięte mięso traci smak i jest niezdatne do użytku. Wędliny po wyjęciu z wędzarni trzeba suszyć na wietrze, a następnie trzymać na strychu, żeby nie spleśniały, zabezpieczone od much przewiewnymi woreczkami. Szynki najlepiej ułożyć w beczułkach i zasypać zbożem. Wyjmując do użytku, wytrzeć czystą ściereczką.

Ryby bite można zachować nasolone przez kilka dni, a biorąc je do użytku, wypłókać czysto w paru wodach. Najpewniejszy sposób, zwłaszcza w lecie, jest posypać dno skrzynki drewnianej tłuczonym węglem drzewnym tak, aby całe było niem pokryte. Na to nasypać warstwę drobno tłuczonego lodu, ubić ścielnie, aby powietrze nigdzie nie dochodziło i ułożyć ryby tak, żeby się nie dotykały; przykryć taką samą warstwą lodu, nakryć grubym płótnem i zasypać grubo węglem. Poczem zabić pakę i postawić w piwnicy, a lepiej — w lodowni.

Raki można używać tylko żywe — przechowuje się je w dużej, glinianej dzieźce, albo w koszu, w po-

krzywach, koniczynie, naci od pietruszki, skrapianych mlekiem z kaszą pszenną i bułką. Codziennie po nakarmieniu raków trzeba je wraz z koszykiem wypłókać w czystej wodzie, starą zieleninę wyrzucić, a włożyć świeżej, bo od zakwaszenia mogłyby pozdychać. Trzeba także starannie raki przebrać, uważając, aby nie zostawić słabego, albo zdechłego między żywymi.

Masło do chleba można przechowywać ścielnie ułożone w małych szklanych słoikach, zalane zimną, twardą wodą, rozpuściwszy w niej trochę soli (1 deka na 40 deka masła). Wodę trzeba zmieniać codziennie. Masło do potraw po nasoleniu upycha się w kamienne garnki, albo drewniane (dębowe) faszeczki tak, aby nigdzie powietrze nie zostało. Zakrywa ścielnie i trzyma w zimnym, ale suchym miejscu, żeby nie zapleśniało. Dobrze jest z wierzchu zalać gorącym, roztopionym masłem i dopiero po zupełnym zastygnięciu obwiązać ścielnie i wynieść na chłód.

Oliwę, która tak, jak wszystkie tłuszcze, prędko gorknieje od dostępu powietrza, trzeba trzymać zamkniętą ścielnie w butelce, zalawszy ją z wierzchu spirytusem 90%. Jaja przechowuje się różnorodnymi sposobami, mającymi na celu zabezpieczenie ich od dostępu powietrza. Świeżo zniesione jaja po zupełnym ostygnięciu smaruje się lnianym olejem całe, bardzo dokładnie i ustawia cienkim końcem na dół w dobrze wysuszonym piasku, albo na półeczkach dziurkowanych tak, aby jajka do połowy w nie wchodziły. Ten sposób jest najpewniejszy, ale najdroższy i najzmudniejszy. Dobrze również przechowują się jaja w preparacie, zwanym „Garantol“, rozpuszczonym w zwykłej wodzie. Dostać go można wraz ze sposobem użycia w składach aptecznych i drogerjach; w płynnie tym, dobrze zastosowanym, jajka pozostają świeże do roku. Można też zalać jajka wodą wapienną (na 10 litrów wody — litr wapna gaszonego), potrzymać w niej chwilę i zaraz wyjąć. Po obsuszeniu na powietrzu, powtórzyć czynność do czterech razy, a potem schować w chłodne miejsce, chroniąc naturalnie od mrozu. Tak przechowane jaja mogą być używane tylko do ciast, klusek i legumin, zachowują bowiem pewien wapienny smak, który je czyni niesmacznymi. Jajka świeżo zniesione można umoczyć w roztworze gumy arabskiej, rozpuszczonej w zimnej wodzie (3 deka gumy w proszku na litr wody), a po obeschnięciu ustawić cienkim końcem na dół w beczułce, napełnionej popiołem drzewnym, przesypując nim ścielnie każdą warstwę, ustawioną tak, aby jajka nie dotykały jedno drugiego. Jaja przechowuje się też dobrze w trocinach, w sieczce, w bardzo suchym piasku, albo w otrębach, pomieszanych z mielonym wapnem niegaszonym (na 9 części otrąb 1 część wapna). Ustawione jaja trzeba co jakiś czas przekładać tak, aby te, co były na spodzie, poszły na wierzch itd. Ważnym warunkiem przy konserwacji jaj jest, aby były ścielnie świeże, wystudzone po zniesieniu i trzymane

w miejscu suchem, chłodnym, dobrze zabezpieczonym od mrozu.

Chleb napoczęty owija się w serwetkę, następnie w papier i wkłada do kamiennego garnka, z wierzchu szczelnie nakrytego. Ciasto, jak babki, placki — trzeba posmarować młodem masłem, obsypać grubo cukrem i włożyć z powrotem do foremek. Na ciastka krusze, biszkopty, makaroniki najlepiej mieć duże pudełko blaszane, szczelnie zamykane. Obwarzanecki drożdżowe, paluszki, sucharki trzeba przechowywać w szklanych słojach, obwiązanych dokładnie papierem woskowym.

Sery suche zawijać w gałganki, maczane w piwie, tłuste — w papier ołowiany; zwykle krowie i gmołki, obsuszać na wietrze, albo gnoić w drewnianych, płaskich skrzyneczkach, przełożone liśćmi chrzanowemi.

J. S.

OBIADY NA MASZYNCIE

DWA OBIADY NA TRZY OSOBY Z JEDNEJ KACZKI

1) Zupa ogórkowa z kartoflami.

Potrąka z kaczki z kaszą perłową i grzybowym sosem.

Kisielek czekoladowy z mlekiem.

Pół ładnej, dobrze utuczonych kaczki nastawić w sześciu szklankach wody (dróbki i drugą połowę kaczki przechować w chłodzie na dzień następny). Zagotować na mocnym ogniu, zszumować, włożyć marchewkę, pół pietruszki i pół cebuli, pokrajane w cienkie paski, posolić, knot przykręcić i gotować wolno, aż kaczka zmięknie; włożyć wtedy pół kilo kartofli, pokrajanych w paski, i jeden ogórek kwaszony, obrany i także pokrajany, parę ziarn pieprzu i ziela, listek i wlać tyle kwasu ogórkowego, ile chcemy do smaku; zagotować i trzymać na ogniu tak długo, aż kartofle stracą pierwszą surowiznę. Przed włożeniem kartofli i ogórka wyjąć kaczkę, pokrajać ładnie i przełożyć do drugiego rondelka; połać szklanką rosółu, który użyjemy na sos, a który tymczasem kaczkę będzie chronił od wyschnięcia; wstawić oba rondle w gniazdo. Szklankę kaszy perłowej, namoczonej wigilją wieczorem zimną wodą, zalać trzema szklankami wody i dusić na bardzo wolnym ogniu; gdy już miękka, dodać łyżeczkę masła i wybijać mocno łyżką, aż się kasza dobrze rozklei, wtedy dopiero ją osolić. Jeszcze wcześniej, przed nastawieniem zupy, ugotować trzy grzybki suszone w szklance wody. Zasmażyć niedużą łyżkę masła z taką łyżką mąki, rozprowadzić smakiem grzybowym, pozostawionym rosółem, zagotować, włożyć grzybki, pokrajane w paski, dobrą łyżkę śmietany, zagotować raz jeszcze. Kaszę wyłożyć na półmisek, na nią kaczkę, wszystko połać

sosem, przykryć jaką miską, aby nie wystygło i podawać zupę, w której kartofle powinny być już dojrzałe. Kisielek należy przyrządzić rano, aby dobrze wystygł. Dwie szklanki wody zagotować z pół szklanką cukru i 10 deka utartej czekolady, trzy łyżki kartoflanej mąki rozbić w trzeciej szklance wody, wlać do gotującego się płynu, wybić dobrze łyżką; gdy się zaczynają pokazywać bąbelki, przelać na salaterkę i zastudzić. Do kisielku podać pół litra mleka i drobny cukier.

2). Zupa z dróbek z grzybkami.

Kaczka duszona z jabłkami.

Ryż na zimno do konfitur.

Zrana ugotować filiżankę ryżu, nastawiając go z dwiema szklankami wody i gotując na bardzo wolnym ogniu. Kiedy już miękki, wlać na durszlak, przelać zimną wodą, poczem wymieszać z paru łyżkami cukru, utłuczonego z wanilią, lub też zamiast wanilji dodać nieco skórki cytrynowej, otartej delikatnie na tarce. Ryż włożyć do salaterki i postawić na chłodzie. Do niego się podaje jakiegokolwiek konfitury lub syrop. Dróbki z kaczki (za wyjątkiem wątróbki, która, ugotowana, udzieli goryczy całej zupie) nastawić w litrze wody, z dużym grzybkim, połową pietruszki, całą marchwią i całą cebulą; zagotować na dużym ogniu, zszumować, posolić, włożyć pieprzu, listek, ziela, przykręcić knot i gotować wolno, aż dróbki zmiękną. Jeżeli mamy pozostałą perłową kaszę od potrawy, trzy łyżki włożyć do zupy; jeśli jej nie pozostało, dobrą łyżkę kaszy, wpięrow na kilka godzin namoczonej, włożyć od razu przy nastawieniu zupy. Jarzynki i grzybek cienko pokrajać, włożyć półkwaterek dobrej kwaśnej śmietany, raz jeszcze zagotować i wstawić rondel w gniazdo. Połowę kaczki osolić wewnątrz i zewnątrz. Zasmażyć na rumiano w rondelku łyżkę masła, włożyć na to kaczkę, zrumienić z obu stron, podlać kilkoma łyżkami wody, przykryć pokrywą; knot przykręcić, dusić na wolnym ogniu, często przewracając i uważając, aby zawsze było dosyć wody i tłuszczu, żeby mięso nie przystało do dna rondla. Kiedy kaczka już prawie miękka, co można sprawdzić, wkluwając w udo widelec, włożyć wymoczoną wątróbkę, a na dziesięć minut przed podaniem — trzy jabłka duże, kwaskowe, najlepiej antonówki, przekrajane na połówki. Kaczkę wyjąć na deseczkę, podzielić ją ostrym nożem na trzy duże, lub sześć mniejszych części, jabłka ułożyć wkoło. Do sosu wlać parę łyżek wody, zagotować. Na rondlu postawić półmisek z kaczką, przykryty miseczką, aby nie wystygła. Podawać zupę. Sos wylać na kaczkę z jabłkami w chwili podania, aby była gorętsza.

Pani Elżbieta.

Przy obstrukcji, zaburzeniach trawienia, zgasze, uderzeniach do głowy, bólach głowy i ogólnym niedomaganiu, zażywa się rano naczno szklankę naturalnej wody gorzkiej „Franciszka Józefa“. Na podstawie doświadczeń, dokonanych w klinikach chorób wewnętrznych, woda „Franciszka Józefa“ jest jedynym i najskuteczniejszym środkiem przeczyszczającym. Żądać w aptekach i drogerjach.



SIELAWKI MORSKIE MARYNOWANE PO GRECKU

Dwa kilo sielawek oczyścić, osolić, utarzać w mące i usmażyć na oleju, lub oliwie; wystudzić zupełnie. Kilo marchwi, pół kilo pietruszki, pół selera, trzy duże cebule i sporą główkę włoskiej kapusty uszatkować, każde oddzielnie, jak na makaron. Marchew, pietruszkę i seler włożyć do rondla, wlać dwie łyżki wody i pół szklanki dobrej oliwy, dusić na wolnym ogniu. Po kwadransie dodać kapustę, a jeszcze po kwadransie — cebulę, kilkanaście ziarn pieprzu, ziela i dwa listki; dodać jeszcze parę łyżek wody i drugie pół szklanki oliwy. Nakoniec włożyć pięć średnich pomidorów, pokrajanych na części (zimną — pięć łyżek konserwy pomidorowej), i, jeśli mamy, jeden spory kabaczek, pokrajany w plastry. Po dziesięciu minutach wlać dwie szklanki najlepszego, winnego octu, zgotować raz tylko i całą jarzynę odstawić od ognia. Gdy zupełnie wystygnie, przekładać w salaterkach rzędami ryby i jarzyny, — ostatnia warstwa powinna być z jarzyn. Nazajutrz po przyrządzeniu można już tę wyborną marynatę podawać. Zimą stać może do dziesięciu dni; latem — dwa, do trzech najwyżej.

SANDACZ NADZIEWANY NA ZIMNO

Do smaku, w którym mamy gotować sandacza, użyć potrójną proporcję włoszczyzny: marchwi, pie-

truszki, cebuli, kapusty włoskiej; oprócz tego ugotować w nim jeszcze jakąkolwiek sezonową jarzynę: szparagi, kalafjory, groszek zielony, lub takąż fasolkę. Jarzyny te [wyjąć, do smaku włożyć sandacza, oczyszczonego, jak zwykle, i dobrze osolonego, listek, kilka ziarn pieprzu i ziela. Gdy ryba gotowa wyjąć ją na stolnicę, rozplatać ostrożnie wzdłuż, starając się nie pokruszyć; wszystkie ości duże i małe usunąć, głowę i ogon pozostawić nienaruszone. Wszystkie jarzynki drobno posiekać, zmieszać z sosem majonezowym w takiej ilości, aby się uformowała gęsta sałatka. Na głębokim półmisku ułożyć połowę sandacza, pokryć grubą warstwą sałatki jarzynowej, na to położyć drugą połowę ryby, przyłożyć głowę i ogon; rybę zlekka przycisnąć, aby się dobrze połączyła z jarzynami.

Tymczasem na smaku od ryby przygotować galaretę, kładąc na każdą szklankę rosołu 3—4 listki żelatyny, wpięrow rozmozonej w zimnej wodzie. Gdyby płyn nie był dosyć czysty, sklarować go białkiem i przecedzić. Zupełnie zastudzoną rybę zalać stygnącą galaretą. Ubrać po wierzchu jajami, ugotowanymi na twardo, grzybkami, plasterkami cytryny, rakami całymi, lub szykami tylko, korniszonami, nawet reszta sałatki majonezowej, pozostałej od nadziewania ryby.

EGG-FLIP

Duży kieliszek Xeresu, 1 świeże jajko, dwie łyżki cukru - pudru, trochę gałki muszkatołowej, tłuczony drobno lód. Jajko utrzeć z cukrem do białości, jak na gogel-mogel, dodać gałkę muszkatołową, Xeres i ubić razem jaknajmocniej, aby się płyn zapienił. W restauracjach mają w tym celu specjalne metalowe, szczelnie zamykane aparaciki. Pół szklanki nałożyć drobno tłuczonym lodem, wlać na „flip“ i pić przez słomkę.

Pani Elżbieta

„WINA OWOCOWE“

KSIĄŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM
DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perelki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, lilijowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na pięgi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyła za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8 tel. 244-18.